

# czerwony karzet

1 (24) 2019



ISSN 1425-5952



9 771425 595204

## LITERATURA

Krzysztof Szkuratowski	
<i>Incipit et explicit</i>	7
Jean-François	
<i>Wstąpił do piekieł</i>	18
Andrzej Prószyński	
<i>Nazywam się Jack</i>	20
Anna Musiałowicz	
<i>Pieskie popołudnie</i>	21
Katerina Michajłowna	
<i>Moje życie z dziewczyną-wilkotakiem</i>	27
Sandra Gatt Osińska	
<i>Nie wszystkie psy idą do nieba</i>	43
Norbert Góra	
<i>Szczekam radośnie podróżując wśród gwiazd</i>	47

## PUBLICYSTYKA

Karolina Kaczkowska	
<i>Psy, medycyna i podbój Kosmosu</i>	3
<i>Subiektywny top 5 fantastycznych psów</i>	25
Rafał Nawrocki	
<i>Psi swąd w fantastyce grozy</i>	12
Grzegorz Szczepaniak	
<i>Psia dola, czyli fantastyka na czterech łapach</i>	37

## OD REDAKTORA

Powszechnie wiadomo, że ulubionym zwierzęciem fantasty jest przede wszystkim kot. Na łamach najnowszego numeru „Czerwonego Karła”, poświęconego psom i psowatym, nie zamierzamy z tym faktem polemizować. Nie będziemy nikogo przekonywać, że „psy są fajniejsze”. Koty doczekały się już niejednej antologii opowiadań fantastycznych, jak *Trzynaście kotów* czy *Jedenaście pazurów*. Psy (i psowate) jak dotąd nie miały tego szczęścia, dlatego postanowiliśmy poświęcić im nieco miejsca na łamach dwudziestego czwartego numeru naszego fanzinu. Jesteśmy świadomi, że nie wyczerpaliliśmy tematu – ale chociaż krótko chcieliśmy zaznaczyć, że pamiętamy o naszych szczekających przyjaciółach i ich kuzynach, którzy także mają ugruntowane miejsce w kulturze popularnej – fantasy, sf i horrorze.

Redaktor naczelna chciałyby zadedykować ten numer Kamie (1994–2002) i Einowi (2003–2017), dwóm fantastycznym psom.

### Czerwony Karzeł

Magazyn Literacki  
Gdańskiego Klubu  
Fantastyki  
Nr 1 (24) 2019

100 egz.

ISSN 1425-5952

### Adres korespondencyjny:

80-385 Gdańsk  
ul. Opolska 2

### Redakcja:

Karolina Kaczkowska (RN)  
Agata Plank-Wcisłowska  
Jan Plata-Przechlewski  
Grzegorz Szczepaniak

### E-mail:

delvanakk@gmail.com

### Okładka:

Anna Wołosiak-  
-Tomaszewska, *Cerber*

### Druk:

Print Group Sp. z o.o.  
<http://printgroup.pl>



KAROLINA KACZKOWSKA

## PSY, MEDYCINA I PODBÓJ KOSMOSU

Przywykliśmy do myślenia o psach jako o naszych czworonożnych przyjaciółtach, których cenimy przede wszystkim za bezwarunkowe przywiązanie. To właśnie psy zostały udomowione pierwsze ze wszystkich zwierząt tysiące lat temu i od tamtej pory wiernie towarzyszyły ludziom na ich drodze do cywilizacji. Wraz z upływem czasu coraz lepiej przystosowały się do potrzeb człowieka. Nie ma drugiego takiego zwierzęcia, które przedkłada ludzi nad przedstawicieli własnego gatunku.

Niejednokrotnie psy wspierały rozmaite dążenia swych panów bez protestu, choć niekiedy z własnej nieprzymuszonej woli. Jesteśmy przyzwyczajeni do widoku psów przewodników na ulicach, doskonale znamy psy myśliwskie, pasterskie czy policyjne. Znacznie rzadziej mamy jednak okazję do refleksji nad zastosowaniem tych zwierząt w badaniach naukowych, owianych zresztą szkodliwymi mitami.

Gdy w XVII wieku zaczynało pierwsze badania z udziałem psów, idea humanitarne-go traktowania czworonogów rzeczywiście była ludzkości wciąż dość obca. Psy jednak nie protestowały, a warunki, w jakich przeprowadzano badania, poprawiały się wraz ze wzrostem wiedzy naukowej i świadomości. W ten sposób psy przyczyniły się do przełomowych odkryć w dziedzinie medycyny, nierzadko nagradzanych Noblem, a co za tym idzie do poprawienia komfortu życia milionów ludzi i zwierząt.

Dzięki psiemu oddaniu, w 1889 roku Joseph von Mering i Oskar Minkowski

wykazali, że pozbawienie psa trzustki prowadzi do cukrzycy. Dziesięć lat później dalsze badania na psach wykazały, że podawanie insuliny znacznie obniża poziom cukru we krwi. W 1922 roku udało się uzyskać ulepszoną insulinę, którą ponownie badano na psach. W 1923 roku badania te zostały uhonorowane Nagrodą Nobla.

Pies Pawłowa to znane określenie, weszło nawet w zasób języka jako związek frazeologiczny o niekoniernie pozytywnych konotacjach. Badania przeprowadzane na psach przez tego uczonego nie miały jednak na celu sformułowania zasad warunkowania, było to przypadkowe odkrycie. Pawłow badał bowiem fizjologię układu pokarmowego na żywych zwierzętach, gdyż sekcje martwych okazały się niewystarczające. Badania na psach dostarczyły Pawłowowi informacji na temat działania ślinianek, żołądka czy jelit oraz pomogły udowodnić, że pracą układu pokarmowego steruje układ nerwowy. W 1904 roku zdobył Nagrodę Nobla.

Psy wsparły także badania Edwarda Mellanby'ego nad krzywicą na początku XX wieku, co doprowadziło do odkrycia witaminy D i opisanie jej roli w organizmie. Psy trzymane w zamknięciu i karmione płatkami owsianymi zaczęły wykazywać objawy tej choroby, popularnej także u ludzkich dzieci. Dodanie rybiego oleju do karmy spowodowało ustąpienie objawów. Okryto wówczas ponadto, że do syntezy witaminy D w organizmie potrzeba światła słonecznego.



W 1880 Ludwik Pasteur dzięki badaniom na psach opracował szczepionkę przeciw wściekliznie, mimo że samo pojęcie wirusa nie było jeszcze wtedy znane. Uczony ten badał przebieg choroby – opracował sposób sztucznego jej wywołania poprzez



opracowaną podczas badań na psach dało się zastosować także u ludzi.

Psy były pierwszymi istotami na świecie, które dostawały zastrzyki dożylnie. Badania te zaowocowały w końcu wynalezieniem sprzętu do transfuzji. Podobnie dzięki

- 4 zarażonej tkanki – oraz szukał metody na uodpornienie organizmu. W ciągu pięciu lat udowodnił, że podanie małych dawek atenuowanego wirusa psom zapewniło im odporność na tę straszną chorobę, na którą masowo umierali również ludzie. Dzięki podobieństwu organizmów psiego i ludzkiego – oba są podatne na zakażenie oraz zdolne do wytworzenia odporności – szczepionkę

współpracy psów powstał pierwszy defibrylator – w 1840 roku naukowcy za pomocą tych zwierząt udowodnili, że serce można zarówno zatrzymać, jak i pobudzić do działania poprzez zastosowanie elektrycznych impulsów. W 1899 roku w Genewie Louis Prevost oraz Frederic Batelli zademonstrowali na psie działanie prototypowego defibrylatora. Badania psich serc przygotowały także drogę do wynalezienia elektrokardiogramu (EKG), rozrusznika serca, sztucznej zastawki oraz do odkrycia przeszczepu zastawki.

W 1934 roku George Whipple zdobył Nobla za badania nad anemią, do których wykorzystał psy. Naukowiec ten sprawdzał, jaka dieta okaże się najbardziej efektywna w przypadku niedokrwistości. Trzydzieści lat później Nobel powędrował też w ręce Charlesa Hugginsa za osiągnięcia w dziedzinie leczenia raka prostaty. Dzięki badaniom na psach odkrył on związek między tym nowotworem a działalnością hormonów płciowych w organizmie.

Choroba Duchenne'a, zwana także dystrofią mięśniową, również podlega badaniu na psach, którym podaje się eksperymentalną kurację złożoną z ich własnych, genetycznie zmodyfikowanych komórek. W listopadzie 2012 roku przeprowadzono badania nad



Ludwik Pasteur



zastosowaniem transplantacji komórek w leczeniu uszkodzeń rdzenia kręgowego. Brały w nich udział jamniki – zwierzęta domowe, które nabawiły się takich kontuzji w rozmaitych okolicznościach. Komórki pobrano z nosów psów (olfactory ensheathing cells – OECs), ponieważ nos to jedyne miejsce, gdzie komórki nerwowe kontynuują wzrost u dorosłych organizmów.

Zanim może dojść do testów nowych leków na ludziach, muszą one zostać sprawdzone na dwóch gatunkach zwierząt, z których pierwsze to zawsze gryzoń. W 75% przypadków tym drugim jest pies. Badania z wykorzystaniem zwierząt wzbudzają kontrowersje, mimo że wielu domorośliwych krytyków nie zdaje sobie nawet sprawy, w ilu momentach życia korzysta z dobrodziejstw cywilizacji wynalezionych i odkrytych z udziałem między innymi psów. Alternatywne sposoby badań i testów są wciąż aktywnie poszukiwane, wciąż jednak nie udało się stworzyć innego modelu żywego organizmu niż on sam. Psy obecnie służą za modele jedynie kilku chorób, a ich zastosowanie w badaniach reguluje restrykcyjne prawo.

Badania medyczne to nie jedyna gałąź nauki, gdzie psy wspierają ludzkie dążenia. Te fantastyczne zwierzęta częściowo przetańczyły nam także drogę do gwiazd. Ikoną psich lotów kosmicznych stała się oczywiście Łajka, która 3 listopada 1957 roku została wystrzelona w kosmos na pokładzie sowieckiego Sputnika 2, by stać się pierwszą ziemską istotą na orbicie, co przyłączyła swoim psim życiu. Uważa się, że umarła ze stresu i przegrzania po 5–7 godzinach. Przez lata utrzymywano, że powodem śmierci suczki było wyczerpanie się rezerw tlenu; prawdę



ujawniono dopiero w 2002 roku. W londyńskim Museum of Science można kupić pluszową podobiznę psiej kosmonautki.

Sześć lat przed Łajką Związek Radziecki wystrzelił w kosmos dwa inne psy: Cygana i Dezika, nie sięgnęły jednak orbity, ale przeżyły lot na wysokość 110 km. Dezik został wystrzelony ponownie w towarzystwie drugiego psa, Lisy, 29 lipca 1951 roku; tym razem zwierzęta nie przeżyły. Po tej tragedii Cygan został adoptowany przez sowieckiego naukowca.

Także przed Łajką, 16 maja 1957 roku, w kosmos próbowano wysłać Ryżającą i Damkę rakietą R-2A na odległość 210 (lub 212 w zależności od źródła) kilometrów. Oba psy szczęśliwie powróciły na Ziemię, po tym jak doświadczyły sześciu minut w stanie nieważkości. Znane są także imiona innych



### Graffiti z Bielką i Strielką

psów, które latały w kosmos przed Łajką i po niej. Źródła rosyjskie wymieniają jeszcze Smielaję i Małyszkę, Bobika i ZIBa, Odważnąję i Śnieżynkę, która odbyła aż pięć lotów w latach 1959–1960, Albinę, Cyganekę, Krasawkę, Barsa i Lisiczkę – wszystkie te psy brały udział w lotach suborbitalnych.

19 lipca 1960 roku orbitę osiągnęły ponownie dopiero Bielka i Strielka na pokładzie Korabla-Sputnika 2. Psy przeżyły dzień w kosmosie i bezpiecznie powróciły na Ziemię. Strielka wydała później na świat sześć szceniaków, z których jeden został подарowany Johnowi F. Kennedy'emu przez Nikitę Chruszczowa. Potomkowie Strielki żyją do dziś. Tego samego roku 1 grudnia dzień na orbicie spędziły Pchełka i Muszka. Korabl-Sputnik 3, którym podróżowały, uległ jednak zniszczeniu podczas powrotu.

9 marca 1961 roku na orbitę poleciała Czernuszka i szczęśliwie wróciła. Na

pokładzie towarzyszył jej manekin-kosmonauta testujący mechanizm wystrzelenia z kapsuły i lądowanie ze spadochronem. Szesnaście dni później ten wyczyn, także w towarzystwie kukły, powtórzyła Zwiezdoczka w ostatnim psim locie testowym przed Jurijem Gagarinem.

Rekordowy czas na orbicie spędziły psy Weterok i Ugoliok wystrzelone na pokładzie Kosmosa 110 22 lutego

1966 roku. Oba wróciły bezpiecznie na Ziemię 16 marca, po spędzeniu dwudziestu dwóch dni w kosmosie. Psi rekord udało się pobić ludziom dopiero w 1971 roku.

Mimo swoich zasług dla ludzkości w mniejszym lub większym zakresie psy nie są traktowane szczególnie poważnie, co widać choćby w sądowych statystykach. Wymiar sprawiedliwości wciąż traktuje marginalnie przypadki okrucieństwa wobec tych fantastycznych zwierząt. Nie wszystkie psy wylegują się na kanapach i są rozpieszczane do granic zdrowego rozsądku. Niektóre pracują na lepsze jutro, dosłownie oddają życie, choć wcale się o to nie prosily. Zasług tych fantastycznych zwierząt nie sposób przecenić. 🐾

Źródła informacji i obrazków:

<http://www.animalresearch.info>

<https://sputniknews.com>

David Baker, *Soyuz, Owner's Workshop Manual*

Wikipedia





KRZYSZTOF SZKURŁATOWSKI

## INCIPIT ET EXPLICIT

Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby braciszek Gregorius nie zabrał mnie ze sobą na pokutną peregrynację do Ziemi Świętej. Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby w podróży powrotnej nie rozpętał się nagły, długotrwały sztorm i nie połamał masztów statku. Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby kapryśne prądy morskie nie poniosły nas, bezsilnych rozbitków, ku iberijskiemu wybrzeżu. Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybyśmy w Walencji, gdzie wreszcie dotarliśmy do lądu, nie dołączyli do kupieckiej karawany podążającej do Saragossy, lecz ruszyli do Barcelony. Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybyśmy szukając noclegu na przedmieściach Saragossy, trafili do zwykłej gospody, a nie pod dach starego Maura. Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybym nie uległ swojej słabości do książek. Wszelako, wszystko potoczyło się właśnie tak. Maurowie powiedzieliby pewnie – *ma sha'a allah*. Ja jednak nie wiem, czy tego właśnie chciał Bóg...

7

Kiedyśmy już odpoczęli i się posilili, Alabid Alkutub, który zaoferował nam gościnę, zapalił oliwną lampę i zaprowadził nas do niewielkiej komnaty bez okien. Pachniało w niej kurzem, drewnem i dobrze wyprawioną skórą. Kiedy gospodarz podpalił knoty kilku świec rozstawionych w różnych częściach pomieszczenia, oniemieliśmy. Na półkach trzech dużych armariów stały pergaminowe cuda. Naszym oczom ukazały się prawdziwe skarby! Brat Gregorius wyciągnął drżącą z emocji rękę ku jednemu z tomów leżących na pulpicie. Nim jednak dotknął jego oprawy, spojrział pytająco ku naszemu gospodarzowi. Ten zaś skinął przyzwalająco głową. Uśmiechał się z nieskrywanym zadowoleniem widząc zachwyty dominikańskich mnichów. Wstrzymując oddech, mój towarzysz rozchylił okładki książki, którą już kiedyś widział. Przed laty, kiedy spędził prawie rok u braci z *Ordo Sancti Benedicti*, na szczycie Monte Cassino, poznał tę księgę i tam stała się jego ulubioną. To pod jej wrażeniem został najpierw skrybą, a potem librariusem. Korzystał skwapliwie z zaleceń jej autora, Humberta de Romans, kiedy tworzył bibliotekę w nowym klasztorze, ufundowanym przez pomorskiego księcia na gościnnej kaszubskiej ziemi. Latami wzbogacając jej księgozbiór nadal kierował się bezcennymi radami z *De vita regulari*. To dzięki wiedzy z tej lektury zabezpieczył tworzoną bibliotekę potężnymi wrotami z ciężką sztabą. Dębowe drewno dizwi okuto pasami żelaza. Z tego metalu wykonano też grube kraty w nielicznych i malutkich oknach biblioteki. Dodatkowo chroniły je, zamknięte do wewnątrz, masywne okiennice. Tak nauczyła go troszczyć się czytelnice skarby księga napisana przez Humberta, generała zgromadzenia Psów Pańskich. I oto, po latach, znów trzymał w dłoniach ten wspaniały tom.

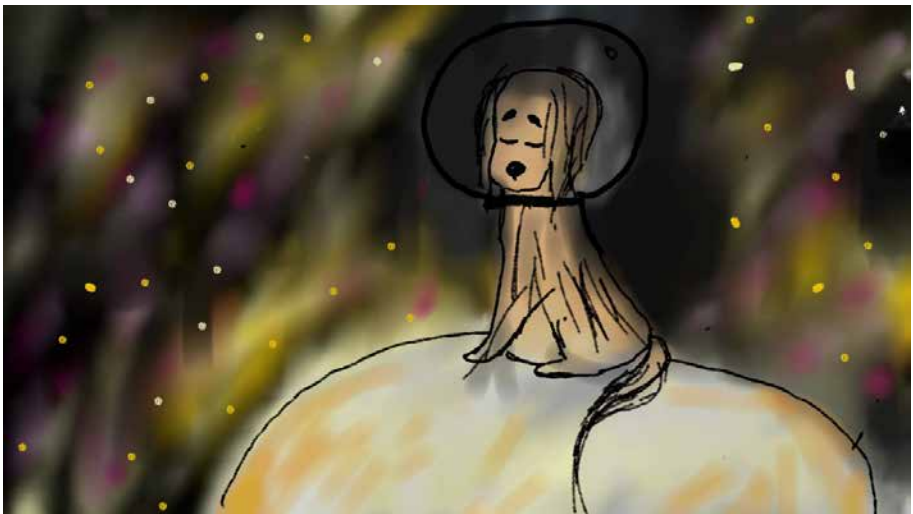
Alabid towarzyszył naszym westchnieniom i okrzykom zdumienia przez dłuższy czas. Potem musiał udać się do innych obowiązków. Opuszczając komnatę przeproszał nas wielokrotnie, życzył wielu odkryć, udanych studiów i zaprosił na wieczere. A wszystko to

przekazał w niemal nienagannej łącinie. Bez wątpienia był starannie wykształcony, ale też zadziwiająco ufny. Na jego miejscu raczej nie zostawiłbym obcych ludzi z takim skarbem. Pożegnania słuchaliśmy dość nieuważnie, bowiem księgi pochłonięły nas bez reszty. Czegóż tam nie było! Samych psalterzy, tak cudownie iluminowanych, jakby to uczynili sami aniołowie, naliczyłem siedem! I tyleż brewiarzy, w tym dwa zdobne aksamitem, a jeden w niezwykle praktycznej oprawie sakwowej – marzenie każdego pielgrzymującego mnicha. Obok tych ksiąg świętych, jakby nic sobie nie robiąc z ich towarzystwa, stał słynny *Picatrix* al-Majritiego. W dwóch egzemplarzach! Mieliśmy przed sobą zarówno arabski oryginał, jak i łacińskie tłumaczenie tej czarnoksiężskiej księgi dokonane przez Alfonsa Mądrego. A jeszcze, prócz porządnie poustawianych w szafach kodeksów, były skrzynie pełne zwojów. Od mnogości wielobarwnych floratur, bordiur, drolerii i inicjałów zaczynało mi się kręcić w głowie.

8

Jako, że komnata z księgami nie miała okien, nie wiedzieliśmy ile spędziliśmy w niej czasu. Uświadomił nam to dopiero Alkutub, który wróciwszy wskazał na ogarki dopalających się świec. Musiał być zatem wieczór. Okazało się, że jest późna noc. Gospodarz po raz kolejny przeproszał nas gorąco za swoje zaniedbanie, pozostawienie nas bez jedzenia i towarzystwa. Na wieczerzę było zdecydowanie za późno, okazało się jednak, że i niektórzy Maurowie wiedzą czym jest podkurek. My zaś, choć nawykliśmy do skromnego jadła i klasztornej dyscypliny, nie odmówiliśmy zaproszeniu do stołu. Widać długie obcowanie z księgami kosztowało nas sporo sił, bo ciała same domagały się pokrzepienia. Zwłaszcza że przecież planowaliśmy następnego dnia wyruszyć w dalszą podróż.

Podczas posiłku rozmawialiśmy we trójkę. O księgach – a jakże, bo o czym innym by warto rozmawiać po takim dniu! Brat Gregorius, który znał sporo słów arabskich, szybko zorientował się, że imiona naszego gospodarza doskonale oddawały jego pasję, bowiem







musicie wiedzieć, że „Alabid Alkutub” przekłada się na naszą mowę jako „Wielbiciel Ksiąg.” Maur kochał księgi i niechętnie się ich pozbywał, choć z handlu nimi uczynił źródło swoich dochodów. Te najpiękniejsze zawsze zachowywał dla siebie. Okazał się też niezrównanym gawędziarzem, o każdym swoim nabytku miał do opowiedzenia jakąś zajmującą historię. Były dla niego jak rodzone dzieci. Znał ich pochodzenie, dobre i złe koleje losu, najmniejsze rany na oprawach i razurowe blizny na kartach. Jego słowa coraz bardziej rozpałały naszą wyobraźnię i ochotę na dłuższy tu pobyt. Chcieliśmy wziąć do rąk wszystkie te dzieła, o których tak barwnie mówił ich właściciel.

Nadchodził brzask, a my nadal nie spaliśmy. Wierciliśmy się obaj, choć postania były wygodne. Najwyraźniej nie umieliśmy stawić czoła pragnieniu dłuższego obcowania z tą wspaniałą biblioteką na obrzeżach aragońskiego miasta. Razem ukłękliśmy do jutrzni, jak-  
by szukając w słowach modlitw potwierdzenia dla decyzji, którą już w istocie podjęliśmy. Zostaniemy w Saragossie. Tak długo, aż nasycimy się bliskością i treścią cennych rękopisów. Po tej nocy pierwszy raz poczułem się więźniem biblioteki. Dobrowolnym.

Przy śniadaniu brat Gregorius nieśmiało zaczął podpytywać Alabida o możliwości dłuższego obcowania z jego zbiorami. Obawialiśmy się, że odpowiedź może być negatywna, zwłaszcza, że nasze sakiewki srebrem już nie bieżęczały. Łatwiej w nich było trafić na połamane miedzaki niż uczciwego denara. Wysłuchawszy do końca przemowy z kamienną twarzą, Maur zerwał się gwałtownie. Napięcie wisiało przez chwilę w powietrzu, aż nagle rozłożył szeroko ramiona i jeszcze szerzej się uśmiechnął. W końcu krzyżąc — *Aeazu al'ikhwa!* Bracia najdrożsi! — brał nas po kolei w objęcia i serdecznie ścisnął.

W istocie staliśmy się mu rodziną. Innej nie miał, bo wszystkich bliskich zabrała mu czarna śmierć, która przetoczyła się przez Aragonię kilkanaście lat wcześniej. Któregoś wieczoru ze łzami w oczach opowiadał o śmierci żony i czwórki dzieci. Gotów był oddać wszystko co miał, byle ich uratować. Jednak pieniądзом brakowało mocy powstrzymywania dżumy. Nie dało się za nie kupić życia. W swoich księgach, z których wiele dotyczyło medycyny, także nie znalazł odpowiedzi jak zapobiec pojawianiu się ropnych pęcherzy u kolejnych dzieci i w końcu też na skórze Asali.

— Asala, Asala, Asala... — niemal szlochał wypowiadając imię zmarłej żony, by po chwili zaśmiać się ponurym, gorzkim śmiechem. — Wiecie, co w moim języku oznacza jej imię?

Pokręciliśmy przecząco opuszczonymi głowami

— „Czysta”. Zanim zachorowała, jej ciało było alabastrowe, a skóra gładza niż cokolwiek innego na świecie. Poznaliśmy się na targu w Barcelonie, bo w tym mieście oboje wówczas mieszkaliśmy. Pokochaliśmy się od pierwszego wejrzenia. I nic nie mogło powstrzymać naszej miłości, nawet to, że ona była chrześcijanką, a ja wyznawcą Allaha. Dla niej gotów byłem gotów zaprzeć się swojej wiary, samego siebie. Ale to ona mnie uprzedziła. Któregoś dnia wzięła mnie za rękę i patząc głęboko w oczy wypowiedziała te słowa: *lā 'ilāha 'illā-llāh, muhammadun rasūlu-llāh*. Tylko raz. Nie ma boga prócz Boga jedynego, a Mahomet jest jego Prorokiem. Stało się. Przystała być Alejandrą, a stała się



Asalą. Oczywiście nie mogliśmy zostać w Barcelonie. By być razem uciekliśmy. Trafiliśmy właśnie tu, na przedmieścia Saragossy. I tu urodziły się nasze dzieci. Nie ma już Asali, nie ma już dzieci! *Ma sza'a allah...*

Alabida pchnęła ku nam przejmująca samotność oraz, równa naszej, niepohamowana miłość do ksiąg. I to właśnie dla niej,  *nolens volens*, porzuciliśmy swoje zgromadzenie zakonne.

Mieliśmy pozwolenie na pielgrzymkę do Ziemi Świętej, a znaleźliśmy się w Aragonii. Ze ślubów złożonych Bogu nikt nas nie uwolnił, więc zdawaliśmy sobie sprawę, że kiedyś będziemy musieli spojrzeć tej prawdzie w oczy. Nie rozmawialiśmy jednak o tym. Żaden z nas nie chciał tego robić. Przynajmniej na razie...

10 Dostaliśmy osobne izby sypialne, nie brakowało ich w tym dużym domu. I mogliśmy tu zostać, tak długo jak mieliśmy ochotę. Gospodarza najwyraźniej cieszyła nasza obecność, choć najwięcej czasu spędzaliśmy w towarzystwie ksiąg. A jedna z nich wpadła mi w oko już podczas pierwszej bytności w komnacie z armariami. Rozmiarem była niepozorna, zaledwie in octavo. Okładki miała dość skromne, bez złotych okuć, bez kamieni szlachetnych, bez jakichkolwiek inkrustacji, a jednak intrygujące. Była jedną z tych *libri catenati*, przykuwanych do stołu łańcuchami i ciężkimi kłódkami, jak galernicy do wiosł. Jednak to nie okowy zwróciły moją uwagę. Od smolście czarnych okładek bił subtelny blask, jakby lśniły. Nietypową oprawę wykonano z hebanowych desek pokrytych od zewnątrz skórą czarnej kobyry. Wnętrze skrywało zaledwie sto kart, ale za to z najdelikatniejszego welinu jaki miałem w rękach. Kiedy zapytałem brata Gregoriusa, z czego robione są takie weliny, odpowiedział, że to bardzo kosztowna skóra pochodząca z nienarodzonych cieląt. Wzdrygnąłem się na te słowa. Niezwykłe było również to, że karty księgi były zabarwione na czarno, a tekst napisano złotym inkaustem. Niestety po arabsku, w języku, którego nie znałem. Jednak nie przeszkadzało mi to w oglądaniu jej wciąż na nowo. Alabid dostrzegł moje zainteresowanie i dyskretnie starał się kierować uwagę w inną stronę. Nigdy też nie opowiedział historii księgi, do której tak lgnąłem. Mimo to, nieustannie znajdowałem czas, by pobyc z nią choć przez chwilę. Niepostrzeżenie stawałem się jej więźniem, może nawet niewolnikiem. Nie było dnia, bym nie dotykał jej okładek. Delikatnie je pieściłem, zawsze czując przy tym dreszcz przyjemności.

Pozostając pod urokiem czarnej księgi, zacząłem się uczyć arabskiego, by przez znajomość tego języka poznać ją lepiej, dowiedzieć się, co będzie mi miała do powiedzenia. Niełatwa to była nauka, a wybór tego manuskryptu na poznawanie nowego języka okazał się złym pomysłem. Dzień po dniu mozolnie poznawałem litery i próbowałem zbierać je w słowa. Jednak litery układały się bardzo często w wyrazy o niezrozumiałym dla mnie znaczeniu, lub zgoła całkiem mi nieznane. Coś jednak powstrzymywało mnie przed szukaniem pomocy u Gregoriusa, czy starego Maura. Chciałem być z księgą sam na sam. Potajemnie nauczywszy się otwierać kłódkę, zacząłem nocami uwalniać księgę, by przенosić ją do swojej komnaty sypialnej. W samotności brnąłem przez czerń jej kart. W ciemność, w której się coraz bardziej pogłężałem, nie zdając sobie z tego sprawy.



W tę jesienną noc księżyc był w pełni, a chmury, które przez ostatnie kilka nocy kryły niebo, zupełnie się rozwiały. Było tak jasno, że mógłbym czytać księgę bez pomocy świece.

Znów próbowałem składać słowa z czarnej księgi. Poruszając ustami szeptałem cichutko.

— *De al'aghlal tasqut min yadik* — miałem wrażenie, że w tej chwili w komnacie pociemniało i zrobiło się chłodniej.

— *'Uetik alhuriya. Ueal waleaysh!* — kiedy wypowiedziałem te słowa z moich ust wydobyła się para, a na skórze pojawiła się gęsia skórka. Zacząłem drżeć. Nie tylko z zimna. Kątem oka dostrzegłem, albo może tylko poczułem gęstniejący, materializujący się mrok. Przez cały dom przebiegło lodowate tchnienie, a w mojej głowie zahuczał niski głos, boleśnie rozsadzający czaszkę.

— Jam jest przedwieczny Kutrub – Pożeracz Ciał i Wysysacz Dusz! Przybywam z bezkresnej pustki, by wreszcie nasycić swój nieskończony głód, by wyłać z siebie gniew uwięzienia. Będzie płacz, zgrzytanie zębów, a ziemia spłynie krwią. Nie oszczędzę ni starców, ni kobiet, ni dzieci człowieczych. Ty przeżyjesz nędzny psie, boś jest pierwszą istotą od stuleci, która wypowiedziała na głos Słowa Uwolnienia. Nigdy już nie opuścisz tych murów, a póki żyjesz, nikt inny w nie nie wstąpi. Słyszę twoje myśli – nie próbuj skamleć o litość dla nikogo! Żyj i ciesz się dniami, które ci pozostawiłem, marny śmiertelniku.

Demoniczny głos w mojej głowie nagle umilkł, a ból ustąpił. Po chwili przez dom przetoczyły się przerażające okrzyki cierpienia jego mieszkańców, a zaraz potem nienaturalnie głośny chrzęst kruszonych kości. I śmiertelna cisza. Nie miałem najmniejszych wątpliwości co do losu brata Gregoriusa i Alabida. Nie znalazłem w sobie dość odwagi, by ruszyć ku nim, by ostłonić ich swoim ciałem, by zginąć wraz z nimi. Postąpiłem jak tchórz. Bo też większego lęku, jaki wówczas czułem, nie jestem w stanie sobie wyobrazić.

Kiedy otrząsnąłem się z szoku, zrozumiałem co zaszło. Szukałem zaklęcia, które by zniszczyło demona, lub chociaż go odwołało. Skoro raz był uwięziony, to pewnie można go było spętać ponownie. Czarna księga jednak znikła wraz z demonem, a z tych, które pozostały nie dowiedziałem się, co robić. Nie udało mi się też opuścić domu. Przy każdej próbie odbijałem się od jakiejś niewidzialnej bariery. Nikomu z zewnątrz również nie udało się dostać do środka, choć nawet nie wiem, czy ktoś próbował. Czy w Saragossie ostała się jakaś żywa istota? Nie chciałem nawet myśleć o ich losie, gdyż wciąż miałem w pamięci to, co zostało z moich przyjaciół po spotkaniu z demonem. Po tej przeklętej nocy nie zobaczyłem już ani jednego człowieka. Nie dobiegało do mnie nawet zwykłe cowieczorne ujadanie psów.

Zostałem więźniem, jednak nie to mnie nurtuje. Czy po mojej śmierci, która nastąpi rychło, bo kończą się zapasy wody, zaklęcie ustąpi i ktoś będzie mógł wejść do domu? Mam nadzieję, że wtedy znajdzie się jeszcze na świecie człowiek, który mógłby znaleźć te zapiski. Oby udało mu się powstrzymać ghula, przywołanego przez moją głupotę i lekomyślność. Jedyne co mogę zrobić, to prosić wszystkich ludzi o wybaczenie. Niech Bóg ma was w opiece! 🐾



RAFAŁ NAWROCKI

## PSI SWĄD W FANTASTYCE GROZY

*Szło dwóch w nocy z wielką trwogą*

*Aż pies czarny bieży drogą*

*Czy to pies?*

*Czy to bies?*

12

– pytał Adam Mickiewicz, drwiąc z prze-wrażliwienia własnej generacji, ale jednocze-śnie całkiem serio pytając o naturę naszych kontaktów z niesamowitym. Wiadomo, noc, gdy zmysły zawodzą (wzrok jest ograniczony, słuch wyczulony na każdy szelest), gdy ciem-ność przypomina o swej nie tak zamierchłej władzy nad ludzkim bezpieczeństwem, noc ta niejednokrotnie stawia nas przed dyle-matem: przeżyliśmy coś niesamowitego? Czy tylko ulegliśmy omamieniu? Pytanie niby powszechne, a tak istotne, że niegdyś Tzvetan Todorov uczynił z niego sam wy-znacznik fantastyki grozy:

*Albo diabeł jest złudzeniem, albo istnieje naprawdę, tyle tylko, że rzadziej się go spo-tyka. To, co fantastyczne, zawiera się w mo-mentcie niepewności, z chwilą gdy decydu-jemy się na pierwszą lub drugą odpowiedź, opuszczamy obszar fantastyki<sup>2</sup>.*

Fantastyka (grozy) jest więc samym mo-mentem zawahania, zwątpienia w racjo-nalizm, lęku wyboru, czego doświadczamy (nadnaturalność? szaleństwo? złudzenie?). Sytuacja graniczna, a groza to doświadczanie

typowo graniczne. Jeśli chodzi o konkretne dzieła, podejrzanie często w tej sytuacji sta-wiają nas... zwierzęta. Już sam Todorov jako wzorcowe dla swej teorii przedstawił opo-wiadanie *Małpia łapka* W. W. Jacobsa<sup>3</sup>, z tym nierozstrzygniętym nigdy dylematem, czy w drzwi stukał wiatr gałęzią, czy też trupią dłońią syn, przywołany z cmentarza mocą diabelskiego amuletu. W tej roli – graniczne-go pośrednika, z tego czy tamtego świata – małpy sprawdzają się także w opowieściach J. Sh. Le Fanu *Zielona herbata* oraz *Goryl* G. von der Gabelentza. Bywa nim także koń. Sami mistrzowie-kodyfikatorzy nurtu sięgają po najwierniejsze, spośród udomowionych, „dzieci nocy” – kota. E. A. Poe w *Czarnym kocie*, H. P. Lovecraft w *Kotach Ultharu* – tu i tam nie wiemy, z czym mieliśmy do czy-nienia, rojeniami pijaka, dziwnym acz wy-tłumaczalnym wydarzeniem czy też do-tknięciem nieodgadnionego. Kolejny mistrz, aczkolwiek mniej od poprzedników popu-larny, Ambrose Bierce wprost przedstawił kocią odpowiedzialność za ożywienie zwłok w ciemności<sup>4</sup>; chociaż chodziło o kota z więk-szych – „górskiego lwa” (pumę). Koty mają najsilniejsze lobby w fantastyce grozy i nie tylko (by wspomnieć obrazy Goi lub wiersze Baudelaire’a).

Czemu więc Mickiewicz sięgnął akurat po psa?

1 A. Mickiewicz, *Niewiadomoco, czyli romantyczność*, w: *Dzieła*, t. I: *Wiersze*, Kraków 1949, s. 53.

2 T. Todorov, *Introduction a la litterature fantastique*, Paryż 1970, cyt. za: M. Wydmuch, *Gra ze strachem. Fantastyka grozy*, Warszawa 1975, s. 22–23.

3 Znane w Polsce z tomu *Opowieści z dreszczykiem*, red. W. Żukrowski, T.A. Malanowski, Warszawa 1957.

4 Chodzi tu o opowiadanie *Okno zabite deskami*, w: *Jeździec na niebie*, tłum. J. Krzyszoń, Warszawa 1978, s. 147–161.



## Czy to pies, czy to bies?

Trzeba powiedzieć uczciwie, że pędzący pośród ciemności pies – zwłaszcza jeśli jest wielkim, czarnym i podejrzanym na mordzie bydłakiem. Takim, jak legendarny widmowy stwór z Ogrodzieńca:

*Można go zobaczyć, jeśli wieczorami lub nocą znajdzie się wśród ruin starego gotyckiego zamku w Ogrodzieńcu, wzniesione go ongiś wśród poszarpanych i przedziwne kształty przybierających skał wapiennym Jury Krakowsko-Częstochowskiej. Pies ten znacznie większy od zwykłego, olbrzymiego nawet psa, ciągnie za sobą długi, brzęczący po wybojach łańcuch, oczy jego płoną, sierść jest smolście czarna. To upiorne zwierzę snuje się wokół murów zamku<sup>5</sup>.*

Jak widać, psi nocny dylemat z ballady Mickiewicza miał swoich protoplastów w folklorze.

Nie jest to jednak specyfika czysto polska czy nawet słowiańska, skoro bliźniaczo podobny stwór pojawia się w najstynniejszej powieści detektywistycznej Arthura Conan Doyle'a – *Psie Baskerville'ów*. Jak wiadomo, zwierzę tam opisane...

*... był to pies – pies czarny jak węgiel, olbrzymi – taki, jakiego dotąd nie widziały oczy żadnego śmiertelnika. Z jego otwartej paszczy buchał ogień, ślepia żarzyły się jak węgle, a po całym jego ciele pełzały migotliwe płomyki. Nigdy nawet w majaczeniach chorego umysłu nie mogło powstać nic równie dzikiego, przerażającego, szatańskiego, jak ten czarny potwór, który padł na nas z tumanów mgły.*

5 „Czarny Pies z Ogrodzieńca”, hasło B. Wernichowskiej do: P. Haining, *Leksykon duchów*, pol. wydanie, tłum. T. Wyżyński, K. Zarzecki, Warszawa 1990, s. 156–162.

Tutaj widmo okazało się mistyfikacją, kłótnia zbrodnią, racjonalizm – drogą do prawdy. Co zresztą sam Sherlock Holmes już na początku komentuje w ujmujący i godny polecenia sposób: *jeśli się okaże, że mamy do czynienia z nadprzyrodzonymi siłami, w takim razie dochodzenia sądowe są bezużyteczne. Ale musimy wyczerpać wszelkie inne hipotezy, zanim dojdziemy do tego wniosku<sup>6</sup>.*

Tego komfortu nie dostępują bohaterowie Strachu Guya de Maupassanta, kolejnego utworu z dylematem „czy to pies, czy to bies”. Tu znów chodzi o przypuszczalny powrót zabitego przed rokiem kłusownika, wyczekiwany przez rodzinę leśniczego (z nabitymi strzelbami).

*Staliśmy nieruchomi, śmiertelnie blaździ, w oczekiwaniu jakiegoś przeraźliwego wydarzenia, nasłuchując z bijącym sercem, najmniejszy hałas przerażał nas. Pies zaczął chodzić po pokoju obwąchując ściany i ciągle skowycząc. [...] Wówczas człowiek, który mnie przyprowadził, rzucił się na psa w paroksyzmie wściekłego strachu i [...] wypędził zwierzę na dwór.*

*Pies zamilkł natychmiast, a nas ogarnęła jeszcze bardziej przerażająca cisza. Nagle wzdrygnęliśmy się wszyscy: jakaś istota przemykała się wzdłuż ściany na zewnątrz, w kierunku lasu; przeszła potem koło drzwi, jak gdyby macając je niepewną ręką; później przez dwie minuty, bliscy szaleństwa, nie słyszeliśmy nic; ta istota wróciła muskając ciągle ściany i zadrapała lekko, jak dziecko paznokciem; potem nagle jakaś głowa pojawiła się przy szybie judasza, biała głowa o oczach lśniących jak u dzikich zwierząt. I z ust jej*

6 A. C. Doyle, *Tajemnica Baserville'ów...*, tłum. E. Żmijewska, Warszawa 1903, s. 17.

wyszedł cichy dźwięk, dźwięk niewyraźny, jakiś żałosny szept.

Wówczas w kuchni rozległ się potworny huk. Stary leśnik strzelił. A synowie rzucili się natychmiast i zasłonili judasza stawiając pionowo duży stół, który umocnili kredensem.

[...] Przesiedzieliśmy w kuchni aż do świtu, niezdolni poruszyć się, powiedzieć słowo, sparaliżowani niewymownym lękiem.

14 Dopiero kiedy przez szczelinę w okiennicy przeniknął wątki promień słońca, odważono się odbarykadować wejście.

Pod murem, naprzeciwko drzwi, leżał stary pies z pyskiem roztraskanym przez kulę.<sup>7</sup>

Mimo, iż wy tłumaczenie zdaje się czyyste (to pies podniecił się samą atmosferą we wnętrzu, pies drapał pod drzwiami, psi pysk ukazał się w okienku w drzwiach, a strach i gotowość na spotkanie czegoś znacznie bardziej przerażającego zasugerowały grozę), narrator do końca nie rozwiewa niepokoju. A nawet podaje nowy do niego powód – jak łatwo omamić zdrowy rozsądek i zmysły, jeśli tylko pojawi się specyficzny nastrój strachu i niepewności. Wówczas łatwo usłyszeć w niepewnym drapaniu do drzwi po zmroku coś więcej, niż niepewne drapanie do drzwi po zmroku.

### Wierny jak pies

Pies pośredniczy więc często między tym, co znane, a tym, co niesamowite i przerażające. Spełnia więc rolę *trickstera*<sup>8</sup>, mediatora między sferami, opisaną przez antropologiczny autorytet, Claude'a Levi-Straussa. Jak wspo-

mniałem już, faktycznie wszystko, co niesamowite, ma charakter graniczny, pośredni. Na tej granicy grasują rozmaite, niepokojące byty: bywają człowiekowi przyjazne (jak duchy bliskich zmarłych, anioły), częściej są niebezpieczne, ale zawsze budzą dreszcz nieznanego.

Pies, pies martwy lub w inny sposób niesamowity, może należeć do jednej lub drugiej grupy, może też łączyć cechy obu z nich. Już nawet straszny brytan rodu Baskerville'ów miał być narzędziem pradawnej kłątwy, rzuconej przez zaszczutą psami dziewczynę, broniącą swej czci. Że wymierzał tę karę niewinnym potomkom – inna sprawa, taka jest logika instytucji kłątwy.

To pozagrobowe przywiązane, wierność swym paniom i panom, daje się często zauważyć w fantastycznych psich wyobrażeniach. Czyż widma psów nie są jednymi z najczęściej przybywających na seanse? Czy na zwierzęcych cmentarzach najwięcej kwater nie zajmują psi pupile? I czy podług spirytualistów psy nie potrafią wyczuwać nawiedzonych przestrzeni, ostrzegając swych opiekunów<sup>9</sup>? Tak, jak ma to miejsce w klasycznych opowiadaniach E. F. Bensona: *Pokój na wieży* (1912), gdzie pies nienawidzi, a kot uwielbia miejsce pochówku wyjątkowo agresywnej (to tak charakterystyczne dla wiktoriańskich czasów!) wampirzycy; oraz *Gdzie nawet ptak nie zaśpiewa* (1912), z mrocznym zagajnikiem w roli głównej:

Zeszliśmy zboczem wzgórza, wokół lasu, aż doszliśmy do bramki [...]. Przytrzymałem ją, aby psy mogły za mną wejść, lecz one stały opodal i żaden z nich się nie ruszył...

7 G. de Maupassant, *Strach*, w: *Horla*, tłum. I. Wieczorkiewicz, Warszawa 1966, s. 60–61.

8 C. Levi-Strauss, *Antropologia strukturalna*, tłum. K. Pomian, Warszawa 2000, s. 112.

9 Por. P. Haining, *op.cit.*, R. Bayless, *Animal Ghosts*,





— *Zawsze to samo* — powiedział Hugh. — Żaden z nich nawet nie zajrzył do lasu...

Gwizdał i wołał, przemawiał pieszczotliwie i łajał, ale bezskutecznie. Psy pozostały na miejscu; szczyrzyły zęby i kiwały tylko przepraszająco ogonami, lecz były całkiem zdecydowane pozostać<sup>10</sup>.

Jak się okazuje, lasek zasiedlił element (żywiotał wg polskiej nomenklatury spirytystycznej) w postaci wielkiego, bezmuszlowego, śluzowatego ślimaka. Rozprawiają się z nim zresztą panowie brytyjscy arystokraci za pomocą... strzelb, jak na stylowym polowaniu.

W opowiadaniu *Duchy i ludzie* (1859) E. Bulwer-Lyttona bulterier bohatera poświęca nawet dla swego pana życie: ostrzegając przed pułapkami pozamaterialnego świata, ulega całkiem fizycznemu skręceniu karku.

Pies warczy na progu nawiedzanej lokacji: to jak rada dla początkującego pisarza grozy, jak zasugerować niesamowitość przestrzenną... Ale, jak wspomniano, psy potrafią też wracać s t a m t a d . Bywają upiorami czy zjawami.

### **Pies pogrzebany**

Moim osobistym faworytem jest *Kerfol* (1916) Edith Wharton<sup>11</sup>, z upiorami całej gromady psów, nawiedzających dawno opuszczony zamek. Powracając z zamierzchłej historii, pełnej – jak to zwykle w niesamowitych opowieściach – kobiecego zniewolenia, zakazanej miłości, która jest zdradą, zemsty okrutnego małżonka, wymierzonej na biednych zwierzakach... Tu już nie ma miejsca na ponadgrobowy sentymentalizm i kliwe odwiedziny – okrutnik-szowinista zostaje żywcem rozszarpany przez zęby swych powracających ofiar.

<sup>10</sup> E. F. Benson, *Gdzie nawet ptak nie zaśpiewa*, w: *Opowieści z dreszczykiem...* s. 259.

<sup>11</sup> E. Whorton, *Kerfol* (w:) *Duchy i ludzie*, tłum. K. Bogiel, Toruń 2008, s. 55–87.



Pies staje się więc także *revenants*: powrotnikiem, upiornym gościem zza cezury grobu. Kreacją grozy niosącą ze sobą żywioł opisywany przez Marię Janion jako transgresja – przekroczenie<sup>12</sup>.

16 Oczywiście, powinien tu zostać przypomniany Spot, czyli pies wskrzeszony (jako pierwsze poznane nam z imienia stworzenie) na nawiedzonym cmentarzysku w Kingowskim *Smętaku dla zwierzków* (1983). Spot, powracając spod ziemi w swej niesamowitej postaci – coś jeszcze ze znanego, coś całkiem, niebezpiecznie innego – wpisuje się dokładnie w mit powrotnika, rzeczy chodzącej pośród żywych, choć przynależnej do grobu. I zapowiada późniejsze, makabryczniejsze wydarzenia w powieści – gdy zaczną powracać ludzie<sup>13</sup>.

Pies może być więc także przewodnikiem w drugą stronę: wieść żywego człowieka do krainy ciemności, zapewne spotykając po drodze swego krewniaka Cerbera. Takie, choć niefantastyczne, postawiono przed psem w opowiadaniu niesamowitym Stefana Grabińskiego, zwanego polskim Poe'em. W *Noclegu* (1920) przedstawił on historię ciekawego pojedynku, w którym pokonanego wskazuje los – w tym wypadku włożony w ręce, czy raczej pysk psa, który ma przynieść jeden z dwu kłębków, typując samobójcę. Ku trochę niezrozumiałemu rozgoryczeniu swego pana, aportuje on właśnie jego kłębek. Rozgoryczenie to zresztą jest na tyle silne, że przegrany decyduje się zabrać psa ze

sobą – kropiąc z rewolweru w łeb najpierw jemu, a potem sobie<sup>14</sup>.

Mediacyjny charakter psa – jako antropologicznego trickstera, pośrednika między światami żywych i umarłych czy fantazmat Janionowskiej transgresji w fantastyce grozy – może pochodzić także z jego zwierzęcej kondycji. Jest on bowiem przedstawicielem bezpiecznego, zcywilizowanego świata ludzkich domów i zagród, lecz jednocześnie bliskim krewnym wilka. A wilk to zwierzę szczególnie dla człowieka upiorne, nocne, nienawistne czy, pozostając przy terminologii Janion, abiektałne (towarzyszy wilk np. bardzo silnie dziecięcym lękom). Stąd nawet pojawiają się istoty pokrewne wilkołakom: czasem taki wygląd mają bobolaki (tak przedstawiono je w zapomnianym już komiksie *Oxana*, ukazującym się w magazynie komiksowym „Awantura” w latach 1990–1991), choć w ilustracjach do Andrzeja Sapkowskiego i komiksach na kanwie jego *Wiedźmina* – niekoniecznie. Autor ten przypomniał nam także, że ludźmi – psiołtówcami nazywano w średniowieczu pawiany, małpy o zwierzęcych pyskach i wojowniczych charakterach. W takiej postaci zjawiają się w tzw. trylogii husyckiej (tom: *Boży wojownicy*). *Nota bene* najbliższy krewniak pawiana, mandryl, jest często określany jako małpa rodem z sennego koszmaru.

### Psia krew!

Autentyczny psiołak, choć w wersji kobiecej (nie będąc szukał neologizmów), jest niesamowitą kreacją opowiadania L. C. Stoumena

12 Więcej zwłaszcza w: M. Janion, *Projekt krytyki fantazmatycznej: szkice o egzystencji ludzi i duchów*, Warszawa 1991.

13 Por. S. King, *Smętak dla zwierzków*, tłum. M. Wroczyński, Bydgoszcz 1992.

14 S. Grabiński, *Niesamowite opowieści*, red. S. Lem, Kraków 1975.




*Płowy pies*<sup>15</sup>, opisującym mrozącą krew przygodę młodego człowieka, który potrąca psa, a pod kołami samochodu natrafia na martwą, sławną aktorkę. Zapewne, jak można dociekać, wiąże się to ze starymi wierzeniami w magiczne transformacje czarownic; zamieniały się także w koty, sowy, zające...

Oczywiście, pies zbliża się do człowieka, nawet z nim – jak widać – jednocząc, bo uchodzi za zwierzę, o czym było powyżej, wyjątkowo inteligentne i lojalne. Nie tylko mieszka z człowiekiem, jest także jego pomocnikiem, czasem niemalże – partnerem. Historia prawdziwa przerasta tu często fantazje: psy są i były: zwierzętami pociągowymi, myśliwymi, pasterzami, cyrkowcami, gladiatorami, przewodnikami, kapłanami, terapeutami, ratownikami (góorskimi i wodnymi), dozorcami, policjantami, celnikami, żołnierzami, a nawet żywymi minami (trosowane podczas II WŚ przez Rosjan do rzućcia się pod wrogie czołgi). Fantastyka naukowa eksploatowała więc także problem psio-ludzkihybryd, raz z liryką i satyrą, jak w *Psim sercu* (wyd. 1987) Bułhakowa, a kiedy indziej z dreszczykiem, jak w *Opiekunach* (1987) D. Coontza. Prześladowcą genetycznie zmodyfikowanego psa, zdolnego do komunikowania się z ludźmi, był tu zresztą genetycznie zmodyfikowany pawian lub mandryl.

I wreszcie pojawia się lęk, że w psie zwycięży jednak ta część bliższa naturze, bliższa wilczym krewniakom i protoplastom. Lęk często zbanalizowany, codzienny, wyśmiewany i śmieszny, jak wizyta u mało sympatycznych osób, podczas której napakowany gospodarz prezentuje nam swego

czworonożnego potwora z informacją, że rasa jest skrajnie agresywna, a agresję tę może spotęgować zwłaszcza wyczuwany od człowieka strach (k...a, ludzie naprawdę bywają tak głupi!). Nudnawy jak kolejne informacje medialne, że słabo pilnowany pies znów kogoś zagryzł lub pogryzł... Na zwierzęta nie powinny spadać oskarżenia, które należą się opiekunom, ale przynajmniej – lęk odczuwany na widok stukilowego drapieżnika, spokojnie kroczącego naszą ulicą, nie należy do całkiem irracjonalnych!

Dobrze wyczuwać to musiał mistrz odnajdywania grozy w codzienności, Steven King, gdy tworzył swego *Cujo* (1983): historię ogromnego i przemiłego bernardyna (niemal archetyp wielkiej psiej dobroci i łagodności), za sprawą ukąszenia nietoperza zarażonego wścieklizną. Wówczas spełnia się najgorszy koszmar – obrócenia się przeciwko nam rzeczy, osób i instytucji uchodzących za najbardziej przyjazne i bezpieczne.

Pies – widok codzienny, oswojony, zwierzę będące najbliższym przyjacielem człowieka, synonim zaufania. Wydawałoby się, pojawia się nam w marzeniach i obrazach jak na malowidłach angielskich, dajmy na to Landseera (jak ta uratowana z topieli dziewczynka z nowofundlandem czy czymś pokrewnym). A jednak – pod zwyczajową galerią łagodnych, sielskich obrazków pulsuje nurt wizji ciemnych, obsesyjnych, przyprawiających o dreszczyk i gęsią skórę. Nigdy nie jesteśmy pewni, czy czy mający w ciemności kształt jest zwykłym psem, czy też biesem, a może nawet samym faustowskim Mefistem, pokazującym nam pod postacią pudła zupełnie nowe drogi do poznania? 

15 C. L. Stoumen, *Płowy pies*, w: *Tchnienie grozy*, zebrał W. Żukrowski, Poznań 1955.

JEAN-FRANÇOIS

## WSTĄPIŁ DO PIEKIEŁ...

Wszystkiemu winien był ten nagły zakręt. I wadliwe wymodelowanie drogi. I rosochaty dąb – pieprzony pomnik przyrody. I pierwsza szadz w tym sezonie. I letnie opony. I lekko podrasowany silnik. I ów symboliczny strzemienny. I chęć jak najszybszego walnięcia się do wyra.

Władysław Sękała w ułamku sekundy pojął, że nie ma szans zapanować nad wozem. Samochód został gwałtownie wyrzucony z szosy w kierunku potężnego drzewa. Nic już nie mogło powstrzymać ani złagodzić impetu czołowego uderzenia...

18

\*\*\*

Ta sekunda trwała niepomniernie długo. Niczym nieuchronne zbliżanie się do jakiegoś cholernego horyzontu zdarzeń. Najpierw Sękała – żona bowiem drzemała w fotelu po prawej, dzieci zaś spały w fotelikach na tylnym siedzeniu – przeleciało przed oczami całe życie, od jakichś zapomnianych scenek z przedszkola poczynając. Później, nader wyraziście (aż dziwne w tak krótkim ułamku czasu!), przypomniał sobie zakrapianą dysputę pod koniec imprezy. Akurat – dysputę o kwestiach ostatecznych.





\*\*\*

Nie wiadomo nawet, kto zaczął. Ale część towarzystwa rozpoczęła rozmowę o „tamtej stronie”. Ktoś upierał się, że „tam” – niczego nie ma. Ktoś inny nawiązał do wizji związanych z tunelem i ze światłem. Jeszcze ktoś napomknął o reinkarnacji. Większość dyskutantów odwoływała się jednak do koncepcji stricte chrześcijańskich. Zastanawiano się nad Niebem, Czyśćcem i Piełem. Niektórzy twierdzili, że miłosierny Bóg automatycznie zbawi każdego, bez wyjątku. Inni, iż nawet najdrobniejszy przejaw faktycznego skorzystania z wolnej woli – zaskutkuje wiecznym potępieniem. Na koniec cała rozmowa skupiła się na możliwości odkupienia win w pośrednim Czyśćcu. Ale jakże może on wyglądać?

19

\*\*\*

Potworny huk i zgrzyt zgniatanych blach. Szarpnięcie. Uderzenie. Niewyobrażalny ból. Tunel. Sękała czuje, jak – w towarzystwie niewidocznej wprawdzie, ale wyraźnie obecnej rodziny – zbliża się w kierunku światła. Już chce przekroczyć granicę, poza którą wyczuwa absolutne dobro i spokój, gdy coś go zatrzymuje, a wewnątrz siebie słyszy niewyobrażalnie melodyjny głos: „Władysławie, wasze dzieci właśnie doświadczyły zbawienia. Jednak ty i twoja żona musicie jeszcze odpokutować rozmaite przewinienia z waszego doczesnego żywota. Ona akurat niewiele, ale z tobą jest znacznie gorsza sprawa... Wracacie na Ziemię – do bytu czyścowego. Dopiero po jego zakończeniu przybędziecie tu znowu; i wtedy Piotrowa brama zaprawdę zostanie wam otworzona”

\*\*\*

— Tatusiu, tatusiu! Bura wreszcie się oszczeniła! Widzę cztery szczeniacki!

— Przesuń się, Antek! Spokojnie, Bura, spokojnie... Tak... Te dwa psiaki chyba są martwe. Ale tamte pozostałe wyglądają na zdrowe. Suczkę obiecałem tej miastowej paniusi, której mąż niedawno pobudował willę na skraju naszej wsi. Już widzę ją na kanapie, całą w kokardkach! Piesek będzie miał gorzej, gdyż nasz Azor dożywa swych dni – i ten młodzian zostanie jego następcą przy budzie... 🐾



ANDRZEJ PRÓSZYŃSKI

## NAZYWAM SIĘ JACK

Nazywam się Jack i bardzo kocham swojego Pana. Mój Pan jest dobry dla mnie. Karmi mnie, wyprowadza na spacer i nawet rozmawia ze mną. Mówi, że wszystko rozumiem, tylko niczego nie mogę powiedzieć, jak jeden z jego studentów.

20 Mój Pan jest bardzo mądry, pracuje w Uniwer City. Ma tam labo, do którego zaprowadził mnie kilka razy. W labo są psy, w klatkach. Pan mówi, żebym się nimi nie przejmował, bo to zwyczajne psy, a ja jestem wyjątkowy. Mówi, że kiedyś byłem człowiekiem i że kiedyś znów nim będę. Nie wiem, jak to może być i kiedy jest kiedyś, ale Pan tak mówi, więc to musi być prawda.

Czasem Pan czyta mi Książkę i mówi, że Ona jest o mnie. I że napisał ją Mój Imiennik, specjalnie dla mnie. Niewiele z niej rozumiem, choć się staram, bo Pan mówi, że to bardzo ważne. I że jak już znów będę człowiekiem, to będę zawsze wiedział, jak uwolnić się z kaftana. Tego zupełnie nie rozumiem, ale Pan mówi, że potem wszystko mi się przypomni.

\*

Pan powiedział, że dzisiaj jest Wielki Dzień i że znowu będę człowiekiem. Poszliśmy do labo i Pan kazał mi się położyć na podłodze łapami do góry. Myślałem, że będzie mnie drapać po brzuchu i polizałem Pana w przednią łapę. Ale Pan tylko podrapał mnie za uchem, a potem założył mi kaganiec, bardzo duży, na całą głowę i na brzuch i na łapy też. I kazał mi spokojnie leżeć. Nacisnął coś i rozbłysło jasne światło, a ja zamknąłem oczy.

\*

— Żyje, doktorze? — zapytał jakiś głos.

— Żyje, tylko udaje, panie naczelniku — odpowiedział drugi.

Próbowałem się poruszyć, ale nie mogłem. W ogóle nie czułem swojego ciała. Potem ostrożnie uchyliłem powiekę...

— No, mówiłem, że żyje, sukinsyn. Jak ci się podobał tydzień w kaftanie bezpieczeństwa, Darrell?

— Od dziś nazywam się Jack — odrzekłem, chrypiąc, acz z godnością. — Tak jak Mój Imiennik, Jack London. 🐕

(12.01.2019)





ANNA MUSIAŁOWICZ

## PIESKIE POPOŁUDNIE

Niebo zasnuwane szarą warstwą chmur nie przepuszczało zbyt wiele światła. Drobne, ocieźniałe od smogu krople dżdżu wypełniały powietrze. Przenikały smolistą wilgocią włosy i ubrania tych, którzy w ten posępny dzień zmuszeni byli opuścić swe suche i przytulne gniazdko. Ludzie przemykali ulicami jak duchy. Niektórzy krążyli pomiędzy budynkami, inni wbijali się w zimne siedzenia samochodów lub tłoczyli na przystankach; siąkali przy tym nosami, wpatrzeni w burą rzeczywistość, zamkniętą w polu widzenia nie większym niż to było konieczne. Głowy skierowane w dół i wzrok wbity w czubki butów nie pozwalały dostrzec zbyt wiele.

21

Gdyby unieśli brody i spojrzeli przed siebie, z pewnością spostrzegliby młodą dziewczynę w granatowym dwurzędowym płaszczu. Przemoknięte włosy przyklejone do twarzy skutecznie maskowały jej rysy, plik powyginanych od wilgoci karteń drżał w stężonych od chłodu dłoniach. Zobaczyliby, że niepewnie rozgląda się wokół, jak gdyby poszukiwała czegoś. Co bystrzejsi pomyśleliby, że odpowiedniego adresu. Lecz nikt, kto w ten smętny dzień wyszedł z domu, nie zwrócił na nią uwagi.

Kornelia Wietecha nie opuściła dzisiaj mieszkania. Zresztą nie ruszała się z niego nigdy, jeśli nie było to bardziej niż konieczne. Przesiadywała w oknie, obserwując sąsiedztwo, karmiła się przemykającymi obrazami życia innych ludzi. Własne jej nie wyszło. Stara panna, w dodatku bez kota. Tragedia gorsza od rozpacy. Skrupulatnie przyglądała się wszystkim. Dziś, jak zwykle, podparła słuszne przedramiona na parapecie, choć tym razem nie wymościła go poduszką w obawie, że ta nasiąknie zwodniczą, brudną mżawką. Niby kilka kropel, a zanim człowiek się zorientuje, ciepły i miękki kawałek materiału zamienia się w obleśny, mokry gałgan.

Leniwie przymrużone, pokryte niebieskim cieniem powieki kobiety drgnęły czujnie, gdy oczy zarejestrowały zagubione, co do tego nie miała wątpliwości, dziewczęcę. Nie zamierzała w żaden sposób reagować, by pomóc temu zabiedzonemu (za chuda, zbyt blada, wszystkie teraz to tylko o odchudzaniu myślą) stworzeniu w odnalezieniu tego, czego szukało. Lepiej zachować dystans i zobaczyć, co się stanie.

Ulica opustoszała. Dagmara, wyraźnie zdenerwowana, tkwiła na środku nierównego chodnika, klnąc siarczyście. Od godziny poszukiwała domu z numerem 23. Ten jakby nie istniał. Adresy na wezwaniach do zapłaty jednoznacznie wskazywały, że gdzieś jednak budynek o takim numerze musi stać. Przemierzyła ulicę w tę i z powrotem. Trzy razy. Nic. Mityczna czarna dziura pochłonęła wszystko, co powinno znajdować się pomiędzy 21 a 25. Pora dnia nie sprzyjała obecności lokatorów w sąsiednich budynkach. Jedynie

naprzeciwko, na tle szarego tynku starej willi, pomiędzy poszarpanymi konarami łysego kasztanowca, odcinał się rozmyty kształt potężnej postaci. Spasiony babsztyl wpasowany w przyziasne ramy okna przyglądał się jej zza przyzółkłych firanek. Nie miała ochoty pytać baby o drogę. Podskórnie wyczuwała, że na grubaskę liczyć nie może. Albo raczej bzydziła się nią.

Kornelia Wieteka zobaczyła jednak coś, czego Dagmara zauważyć nie mogła. Wyliniałego kundla, który na ugiętych łapach zachodził dziewczynę od tyłu. Deszczowe powietrze zadrało od krzyku, gdy zmienacka zatopił zęby w jej chudej łydce.

22

Dziewczę zgięło się w pół, chwyciło za nogę; po chwili zapłakało bezradnie, przemoknięte kartki wypadły jej z rąk. Ból odbierał jej jasność myślenia, łyzy pod powiekami zaburzały zdolność widzenia, łydka pulsowała, plamiąc jeansy czerwienią. Na szczęście krwi nie było dużo.

— Pani, musi pani sprawdzić, czy szczepiony — wychrypiał ciężki od papierosów głos.

Dziewczę nadal trzymało się za nogę i płakało tak, jakby właśnie nadszedł koniec świata.

— Pani, słyszy mnie pani? — krzyknęła głośniejsz Wieteka. No cóż za niewdzięczne stworzenie! Nie dość, że chude i blade, to jak wszyscy młodzi, pewnie i bezczelne. Udaje, że nie słyszy albo, co gorsza, słyszy, ale jest zbyt dumne, by za dobrą radę podziękować. Ale to człowiek w końcu, pomóc trza...

Do Dagmary wołanie dobiegło z opóźnieniem. Obróciła się w stronę okna, z którego opasły babsztyl wychylał się z takim zapałem, że istniało realne zagrożenie widowiskowego lotu i niemniej widowiskowego spotkania z twardą materią bruku.





— A skąd mam wiedzieć, czy szczepiony?! — wydarła się płaczliwie, uprawiając Wietecką w oburzenie. Co za bezczelna dziewczucha!

— No jak skąd, jak skąd? — grubaska uznała, że może bezczelność spowodowana jest szokiem, więc dziewczęciu mimo wszystko pomoc należy. — Do właściciela trzeba iść. — Ech, ta dzisiejsza młodzież, najprostszych spraw nie umie załatwić.

Dagmara, wciąż obłąpiając bolącą łydkę, zbierała z chodnika rozmokłe papiery, szukała w kieszeni telefonu komórkowego, płakała, znów gubiła papiery i tak w kółko...

— Pani, niech pani idzie do właściciela. Pod dwudziestym trzecim mieszka. Taki dziadek. Trochę patologia, ale o psa dba, to i pani krzywdy nie zrobi.

Pomaganie strasznie zmęczyło Wietecką. Odsunęła się od okna i zaległa na kanapie. Po chwili chrapała. 23

Dagmara chlipała. Pulsowanie w łydce ustąpiło, teraz czuła tylko tępy ból. Udało jej się pozbierać papiery. Telefon – prawem Murphy’ego – rozładował się. Ponoć piorun nie uderza w to samo miejsce dwa razy, jednak ona wciąż jak żywe miała wspomnienie wizyt w szpitalu i zastrzyków w bızuch; gdy była dzieckiem, bezpański kundel poszarpał jej rękę tak dotkliwie, że do dziś blizny po szwach nie pozwalały pogrzebać w pamięci tego traumatycznego incydentu.

Musiła odnaleźć właściciela. Mogła się tylko modlić, żeby psisko było szczepione.

Przekłęty numer 23, którego poszukiwała od godziny, niespodziewanie objawił się jej oczom. Budynek skryty był w głębi. Starą, poniemiecką willę porastał bluszcz, zapadnięty w kilku miejscach dach ciążył leciwym, popękanyścianom, powybijane szyby w oknach bardziej odstraszały niż zachęcały do odwiedzin. Dagmara uznała, że nie ma wyboru.

Gdy ruszyła w stronę ścieżki wyłaniającej się spod żółtkniętej trawy, od lat niekoszonej, poprzetykanej niezliczoną ilością chwastów, tuż przed nią zmaterializował się staruszek. Twarz miał całkiem przyjemną oku, może jedynie nieco nazbyt czerwoną. Z oczu mu dobrze patrzyło. Po odzieniu, nie pierwszej nowości i świeżości, można było domniemywać, że to ten od patologii.

— Bry. Mój pies panią uzał? – zaczął bezceremonialnie. – Zerwał się, jebany, z łańcucha. Już wtóry raz w tym tygodniu. Chodź pani za mną. Ksionżkę ścieklizny pokażę.

Dagmara, z pewnym wahaniem, ruszyła za dziadkiem, obok którego, ku jej zaskoczeniu, wesoło truchtał kundelek, teraz całkiem przyjaźnie nastawiony. Staruszek machnął na psa, jakby chciał go uderzyć, a ten jedynie zaszczekał radośnie, machając przy tym ogonem.

— Nie boi się pani. Nic pani nie robi, bo wie, że skurwysyna załtukę.

Dagmara nie skomentowała. Weszli do altany. Resztki powybijanych szyb straszły brudem, porozwalane kizesła skrzypiały przy każdym powiewie wiatru. Kundelek gdzieś

umknął, a dziadek poszedł przodem do wnętrza domu. Kiwnął na Dagmarę, by podążyła za nim.

We wnętrzu było ciemno. Śmierdziało: stęchlizną, potem niemytego ciała, przetrawionym alkoholem i czymś, czego Dagmara nie potrafiła określić. Niepewnie weszła dalej, ze zdziwieniem zorientowawszy się, że pod stopami nie ma podłogi, lecz zwykłe klepisko, po którym walają się puszki po tanim piwie, butelki po wódce, pety i inne śmieci, których zidentyfikować nie mogła.

Już chciała się cofnąć, gdy usłyszała głos.

— Pani nie boi się. Luksusów tu nie ma, ale co mnie, starego człowieka, luksusy. Książka w szafie. Zara podam. Chodź pani. Herbaty nie proponuję, bo i stołu tu ni ma. I krzesła rozjebane.

24

Za Dagmarą zatrzasnęły się ciężkie drzwi. Stary udał się w głąb pomieszczenia, a ona uznała, że pokornie poczeka. Od smrodu zbierało się jej na wymioty.

Wtedy ich dostzegła.

Leżeli w każdym kącie, podpierali ściany. Ciała lub to, co kiedyś było ciałami. W zgniłym mięsie kłębiły się larwy. Nad siną skórą i skrzepniętą krwią unosiły się muchy. Niektóre z ciał zdawały się żywe. Uśmiechały się do niej, chwytając w swoje powykręcane łapska resztki tego, co zostało z innych. A potem te łapska kierowali do pozbawionych zębów ust o pognitych dziąsłach i pochłaniali, co trzymali w palcach.

Dagmara nawet nie zauważyła, że znów wypuściła papiery z rąk.

I kiedy myślała, że znalazła się w koszmarze, że to tylko sen, z którego musi się zaraz obudzić, spostrzegła, że po drugiej stronie izby leży korpus. Nagi, pozbawiony głowy, bez rąk, z kośćmi bielącymi się wśród porozrywanych ścięgien i mięśni, z szeroko rozrzuconymi nogami, pomiędzy którymi... Pomiędzy którymi wił się wychudzony do szczytu osobnik, goły od pasa w dół i... Dynamiczne ruchy jego tyłka nie pozostawiały wątpliwości co do tego, czym był zajęty.

Dagmara w mgnieniu oka odwróciła się i dopadła drzwi. Te, nie bez oporu, w końcu stanęły otworem.

Lecz za nimi czekał pies. Kundel. Ten sam, który ugryzł ją w łydkę. Ten sam, lecz... Trzy razy większy. Z oczami nabiegłymi krwią. Z wyszczerzonymi zębami, spomiędzy których kapała ślina. Warczał. Powoli sunął w jej stronę.

Chciała się cofnąć, lecz drogę zagroził jej starszysek.

— Wiesz pani, u mnie bida, a czasem najeść się tiza.

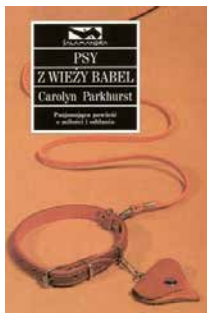
Wietecka obudziła się z drzemki. Za oknem się rozjaśniło. Spojrzała na ulicę. Dziewucha nawet nie przyszła podziękować za pomoc, bezczelna. Nie to, co jej, Kornelii pokolenie, nauczone grzeczności. Pomachała staremu Kołodziejowi spod dwudziestki trójki. Ten, choćby nie wiem jak zachlany, zawsze pamiętał, by mówić „dzień dobry” 🐾



KAROLINA MANGUSTA KACZKOWSKA

## SUBIEKTYWNY TOP 5 FANTASTYCZNYCH PSÓW

**V Lorelei** – suczka rasy rhodesian ridgeback z debiutanckiej powieści Carolyn Parkhurst pt. *Psy z wieży Babel* (Rebis 2004) miała pecha stać się jedynym świadkiem śmierci swojej pani, Lexy Ransome. Z ludzkiego punktu widzenia – świadkiem milczącym. Mąż kobiety, załamany po tym tragicznym wydarzeniu, którego przyczyn nie potrafi dociec żadnymi sposobami, desperacko próbuje uzyskać odpowiedzi na dręczące go pytania od psa. Z tego powodu Lorelei trafia w ręce szemranym naukowców pracujących nad nowatorskim programem umożliwienia psom wyrażania myśli mową. Ta piękna i smutna opowieść o (nie)radzeniu sobie ze śmiercią najbliższych, bezsilności i wadze psiej wierności w trudnych życiowych momentach przeszła u nas w zasadzie bez echa.

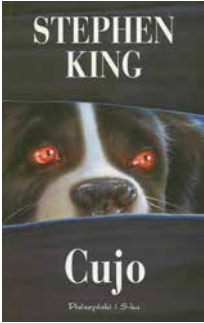


**IV Charlie** – *Wszystkie psy idą do nieba* (1989) to dziś produkcja już dość zapomniana. Przedstawia ona dzieje Charliego, mieszańca owczarka niemieckiego, przestępcy i kombinatora psiego półświatka, który pada ofiarą konkurencji. Trafivszy w psie zaświaty, nasz ogoniasty bohater nie porzuca przyzwyczajień – kradnie zegar odmierzający życie, nakręca go i w ten sposób wraca na Ziemię. Wkrótce poznaje Anne Marie, małą



dziewczynkę umiejącą rozmawiać ze zwierzętami. Charlie postanawia wykorzystać zdolności dziecka w celu zbicia majątku i zemśczenia się na swym mordercy. W toku wydarzeń psi oszust i manipulator powoli odkrywa, co naprawdę liczy się w życiu. Choć psowaci bohaterowie w tej animacji prezentują typy ludzkie, a nie świat zwierząt (jak to często bywa w przypadku produkcji potocznie określanych mianem bajek), trudno nie zauważyć, że z upływem czasu Charlie przejawia coraz więcej cech pozytywnych typowo utożsamianych z psem, jak lojalność czy wierność aż po grób – nawet jeśli jego własny.

**III Cujo** – bohater jednej z nielicznych książek mistrza horroru Stephena Kinga, w której brak wątków nadprzyrodzonych. Losy kilku osób splatają się w koszmarną sieć, kiedy przyjacielski bernardyn z sąsiedztwa, tytułowy Cujo, zaczyna wykazywać objawy wścieklizny w wyniku ugryzienia przez nietoperza i z przyjaznego olbrzyma zmienia się w potwora terroryzującego otoczenie. Książka



powstała w 1981 roku, a więc na długo przed początkiem hysterii antyszczepionkowej, która dziś dotyka też weterynarii. Powieść *Cujo* obecnie mogłaby posłużyć za argument popierający profilaktykę. Czyta

26 się ją ze smutkiem, bo żaden z bohaterów nie zasłużył na swój okrutny los – ani niedopilnowany pies, ani jego przypadkowe ofiary.

**II Dogmeat** – psa o tym imieniu można spotkać w prawie wszystkich częściach kultowej gry *Fallout*, w większości z nich także pozyskać go jako członka drużyny. Wprowadzenie lojalnego, psiego towarzysza do gry w ponurym klimacie post-apo okazało się strzałem w dziesiątkę, nic tak bowiem nie dodaje otuchy na postnuklearnych pustkowiach, jak lojalny towarzysz, który nie strzeli ci w plecy z nienacka z dowolnego powodu. Dziś Dogmeat doczekał się nawet własnego merchandise'u i stał się jedną z najbardziej ikonicznych postaci franczyzy. *Fallout*



w ogóle jest grą dość zapsioną, zwłaszcza część druga, gdzie możliwe jest posiadanie czterech psów, w tym dwóch scybernetyzowanych. Postać Dogmeata wzorowano na psie z drugiej części *Mad Maxa* oraz tym z cyklu *A Boy and His Dog* Harlana Ellisona.

**I Ein** – wszystkie psy są wspaniałe, ale król może być tylko jeden. W moim osobistym rankingu to miejsce należy do Eina, Welsh corgi pembroke'a z drużyny ciamajdowatych łowców nagród, bohaterów kultowego już anime *Cowboy Bebop* z 1998 roku. Pies o podkręconej inteligencji pojawia się w drugim odcinku (z dwudziestu sześciu). Z potencjalnego towaru na sprzedaż szybko zmienia się w pełnoprawnego członka załogi. Jego obecność wptywa głównie na elementy humorystyczne historii. Nazywany psim komputerem – Ein pod wieloma względami jest jak najbardziej zwyczajnym psem, co widać zwłaszcza w jego relacji z Edem, drużynową hakerką. I to właśnie prawdziwość jego psich zachowań sprawia, że staje na czele tego rankingu. 🐕







KATERINA MICHAJŁOWNA

## MOJE ŻYCIE Z DZIEWCZYNĄ-WILKOŁAKIEM

**W**iem, że nie jesteś taka jak ja. Być może należymy do dwóch całkowicie odrębnych światów, a tylko bezmyślny przypadek zetknął nas w jednym miejscu i czasie. Wielu nazwałoby cię potworem, wybrykiem natury, nawet diabłem. Dla mnie nie jesteś żadnym z nich. Kiedy tak siedzisz na parapecie, zamysłona, z wyrazem tęsknoty, jakiej nigdy nie zrozumiem, w błękitnych oczach, podziwiam twoją urodę. Kocham w tobie wszystko. Jasny warkocz, niedbale przerzucony przez ramię, z którego wiatr wyczesuje drobne kosmyki. Smukłe ramię oplatające długie, opalone nogi, stopy w białych trampkach. Twój nieśmiały uśmiech. Dla mnie jesteś idealna. Taką cię zapamiętam.

27

Kaśkę poznałem tuż przed pójściem na studia, gdy ten niemal legendarny okres w życiu człowieka, wspomniany przez wielu z tęsknym westchnieniem i łezką w oku, wkrótce miał stać się moim udziałem. Od kiedy ogłoszono wyniki matury, prawie nie mogłem spać z ekscytacji. Wreszcie wyjadę z ciasnego miasteczka do wymarzonego Wrocławia, zamieszkać bez rodziców i rozpocząć życie na własny rachunek. W każdym razie własny do pewnego stopnia. Przyszłość miałem dokładnie zaplanowaną. Wszystko wydawało się proste i oczywiste. Dobrze mieć złudzenia.

Wrocław marzył mi się, od kiedy pojechaliśmy tam z rodzicami na wycieczkę. Byłem wtedy dzieckiem i wszystko w tym mieście wydawało mi się ciekawe, wielkie i piękne, znacznie piękniejsze niż w u nas. Szczególnie dobrze zapamiętałem małe, brukowane uliczki wokół Rynku, które wydały mi się wówczas takie tajemnicze. Już w dzieciństwie uzekła mnie atmosfera miasta, gdzie tradycja doskonale komponuje się z nowoczesnością. No i ta wszechobecna rzeka!

Maturę zdałem śpiewając. Postanowiłem sam sobie sprawić prezent z tej okazji. Rodzice, a zwłaszcza mama, zawsze byli przeciwni dwóm rzeczom: zwierzętom domowym (brudzą, śmierdzą, roznoszą choroby) i dziewczynom (odrywają od nauki i zachodzą w nieplanowane ciąży). Nie chcę przez to powiedzieć, że moje dzieciństwo to pasmo cierpienia, przeciwnie. Jednak w obu tych sprawach rodzice byli bardzo zasadniczy. Żadne z nich nie skończyło studiów, ponieważ przyszedłem na świat. Mama zajmowała się mną, a ojciec poszedł do pracy, by utrzymać nową rodzinę. To wpłynęło na ich decyzję, by krótko mnie trzymać, bym niechcący nie skreślił swej świetlanej przyszłości. Pragnęli dla mnie łatwiejszego, lepszego życia. Uznałem, że śpiewające wyniki matury to wystarczający dowód mojej odpowiedzialności i dojrzałości, więc coś w końcu za to mi się należy. Postanowiłem po pierwsze przygarnąć psa, po drugie – znaleźć dziewczynę.

Specjalnie przystojny raczej wtedy nie byłem (zuchwa wciąż nosiła ślady trądziku młodzieńczego), ale jakiś szczególnie odrażający też nie. Za dziewczyną planowałem rozejrzeć się, ze względów praktycznych, już na nowym miejscu. Głupio by było znaleźć kogoś

i zaraz potem wyjechać do innego miasta. Jakoś nie przekonywał mnie związek na odległość. Pies to jednak zupełnie co innego. Na studiach miałem zamieszkać razem z Jarkiem, dalekim kuzynem matki, pracującym singlem, który dysponował wolnym pokojem i nie miał nic przeciwko zwierzakowi, o ile będę o niego dbał, a taki przecież miałem zamiar.

We Wrocławiu działało schronisko dla zwierząt. Zaraz po złożeniu papierów na wybrany kierunek poszedłem tam szukać nowego przyjaciela, o którym marzyłem od dzieciństwa. Pamiętam jak dziś, to był wtorek. Piękny, słoneczny początek lata. Jasne niebo z pojedynczymi białymi obłoczkami. Boksy wypełnione szczekającymi psami, z których każdy chciał być po prostu kochany przez kogoś. I pośrodku tego wszystkiego Ona – anioł w spranej koszulce, wytartych dżinsach i gumiakach, z jasnymi włosami lśniącymi w promieniach słońca. Dookoła psy: małe, duże, kudłate i łaciate, podskakują i merdają ogonami. Psi anioł uśmiecha się. Spodziewam się, że zaraz rozłoży tęczowe skrzydła i poniesie futrzaki wysoko do nieba, gdzie już nigdy nie zaznają zła. Tak wyglądała Kaśka, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy. No dobra, może wyobraźnia dodała co nieco, ale i tak był to cudowny widok. Moje serce zabiło żywiej.

28

Kasia była wolontariuszką w schronisku. Kilka razy w tygodniu przychodziła pomagać przy bezdomnych zwierzętach. Do jej obowiązków należało sprzątanie, karmienie i wyprawianie psów, dlatego dobrze znała je wszystkie. Pomagała także ludziom i zwierzętom wzajemnie się odnaleźć. Później odkryłem, że Kasia tak naprawdę pomieszkuje tam kątem. To jednak nie było najbardziej szokujące odkrycie na jej temat...

Choć zajęta psami – które, nawiasem mówiąc, w ogóle nie zwróciły na mnie uwagi – Kaśka w końcu zauważyła, że się gapię. Skinęła lekko głową na powitanie. Poczekalem, aż zamknie psy w boksach i zajmie się mną. Nie powiem, że nie wyobrażałem sobie ciała pod przybrudzonym ubraniem. Chciałem rozpuścić jej jasne włosy i przeczesać je palcami. Różne rzeczy chciałem z nią robić.

— Pan po psa? — jej dzwięczny głos zawrócił mnie na ziemię. — Zapraszam.

Oprowadziła mnie po schronisku. Przyznam, że celowo przeciągałem tę wizytę, by być z Kasią dłużej. Z całej siły starałem się skupić na tym, co mówiła o psach i nie gapić na jej tyłek, gdy szła przede mną, było to jednak bardzo trudne. Od czasu do czasu zerkałem i na psiaki, jednak jakoś żaden nie podbił mojego serca. Dotarliśmy do ostatniego boks.

— I jak? Decyduje się pan na któregoś? — spytała Kasia mierząc mnie wzrokiem. Głupio było wyjść na niezdecydowanego, bo to przecież niemęskie, ale wzięcie niechcianego psa jest znów brakiem odpowiedzialności. — W porządku — ciągnęła. — Proszę nie decydować na siłę. Jeśli nie poczuł pan, że to właśnie ten pies, nic dobrego z tego nie wyjdzie.

Co jej miałem powiedzieć? Że owszem, czuję coś, ale nie do psa?

— Ma pani rację — powiedziałem, jak sędzę, spokojnie. — Nie chciałbym zrobić krzywdy zwierzakowi nieodpowiedzialną decyzją.

— Proszę wrócić za tydzień, dwa. Idą wakacje, ludzie zaczną pozbywać się zwierząt przed wyjazdami. Może wtedy pan któregoś wybierze.

— Wróć. Na pewno wróć. A dziś może pójdzie pani ze mną na kawę? Albo coś zjeść?



No i niech tam, raz kozie śmierć, powiedziałem to! A Kasia, o dziwo, przyjęła propozycję. Rzuciła okiem na swoje przybrudzone ubranie, w tamtym okresie jej jedyne. Dużo później wyznała, że poszła ze mną, bo była głodna. Nie znając osobliwych faktów na temat Kaśki, można by posądzić ją o stereotypowo kobiecy materializm czy płytkość charakteru. Czasem nawet teraz, wiele lat po tych wydarzeniach, które przecież przeżyłem, nie mam pewności, czy to wszystko nie było tylko snem – pokręconym, ale pięknym.

Ku mojej szaleńczej radości, znajomość z Kasią nie skończyła się na jednym spotkaniu. Zorganizowałem sobie trochę wolnego czasu tak, by nie wzbudzić podejrzeń mamy i zacząłem pomagać w schronisku. Na początku Kasia trzymała mnie na dystans, ale w końcu staliśmy się sobie naprawdę bliscy. Zaproponowałem jej, by zamieszkała ze mną, gdy rozpocznę studia. Opierała się, pokrętnie tłumaczyła, po raz pierwszy pokłóciliśmy się. Przynaję, że nie byłem gotowy na prawdę, jaką odsoniła przed moimi oczami. Kiedy powiedziała, że jest wilkołakiem, potężnie się wkurzyłem. Co to są za jaja? Frajera szuka? A ona, zamiast się tłumaczyć, zmieniła postać. Dwukrotnie.

Najpierw stanęła przede mną prawdziwa bestia prosto z horroru, o połowę ode mnie wyższa, pokryta czarnym, lśniącem futrem. Nie potrafiłem wówczas odnaleźć znajomego wyrazu oczu w tych żółtawych, czujnych ślepiach. Na widok zębatej paszczy i pazurów kolana mi zmięknęły i prawie zemdlałem. Ogarnęła mnie też odraza, nagle ucieszyłem się, że jeszcze nie poszliśmy do łóżka. Po chwili, zamiast potwora z ludowych legend, stanął przede mną duży, wilkowaty pies, nieśmiało merdający ogonem. Zaszokowany, gapiłem się na Kaškę, nagą po powrocie do ludzkiej postaci, bez żadnych erotycznych skojarzeń. Bez słowa poszedłem do domu. Niby jak miałem się zachować? Mój świat wraz z całym jego porządkiem i bezpieczną rutyną rozpadł się właśnie bezpowrotnie. Jeśli wilkołaki naprawdę istniały, co jeszcze było możliwe? Wampiry? Inni zmiennokształtni? Demony, elfy, skrzaty ogrodowe, o aniołach i demonach nie wspominając? Nagle wszystko, co do tej pory przeżyłem, wydało mi się jednym wielkim oszustwem.

Egzystencjalne męki słabły jednak z każdym dniem. Ba, nawet z każdą godziną spędzoną z dala od Kaśki. Hormony najwyraźniej ignorowały fakt, że my dwoje chyba raczej nie należymy do jednego gatunku. Pojawiły się wyrzuty sumienia. Jak ja potraktowałem tę dziewczynę? Kasia, jaką znałem, nikogo nie skrzywdziła – to raz. Na pewno istniało prawdopodobieństwo, że jej przypadłość jest wytłumaczalna naukowo – to dwa. Zakochałem się w niej – to trzy. Poszedłem w końcu do schroniska, bojąc się, że jej tam nie zastanę. Była. Jak zwykle w niedbałym stroju, otoczona gromadką psów, które wyraźnie weselały w jej towarzystwie. Chwilę obserwowałem. Psy przecież nie mogą się mylić. Przeprosiłem. Zrozumiała.

Korzystając z uroku lata, położyliśmy się na trawiastym brzegu Odry i rozmawialiśmy, patrząc w niebo i trzymając się za ręce.

— Jestem taka od urodzenia — opowiadała Kaśka. — Mam to po matce, a przynajmniej tak twierdziła babcia. Rodziców nie pamiętam za dobrze, zaginęli, kiedy byłam bardzo mała.

— Czy to znaczy, że mogą jeszcze żyć? — spytałem. Kasia wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Na pewno bym chciała. Babcia umarła pół roku temu, w ziemie. Odziedziczyłam po niej dom razem z makabrycznym zadłużeniem, więc zrzekłam się spadku. Teraz nie mam adresu zameldowania, nie mogę podjąć żadnej legalnej pracy. Mieszkam trochę tu, trochę tam, jem, co znajdę. Jakoś żyję z dnia na dzień.

Kasi trudno było egzystować w mieście, gdzie nie ma zbyt wielu zwierząt, które można upolować. Od jedzenia odpadków bolała ją bizuch. W lesie też nie ma lekko, można oberwać śrutem lub wpaść we wnyki. XXI wiek to niedobry czas dla samotnych wilkołaków.

— Twoja babcia też...

— ...była wilkołakiem? Nie. Niewykluczone, że dziadek tak. Ledwie się pobrali, wybuchła wojna i oni zginęli. Babcia nie wiedziała wiele o wilkołakach. Kiedy moja mama przeszła pierwszą przemianę, a musisz wiedzieć, że u kobiet nadchodzi ona u progu okresu dojrzewania...

— Oszczędź mi fizjologicznych szczegółów — poprosiłem. Chyba musiałem się zarumienić, bo Kasia zaśmiała się cicho.

— Babcia objaśniła mi, co to wszystko znaczy na tyle, ile sama rozumiała. Zabroniła zmieniać postać przy obcych. Tak naprawdę rzadko to robię. Mogłam wszystko ukryć przed tobą, najprawdopodobniej nigdy byś się nie zorientował, że coś ze mną nie tak.

— Nawet podczas pełni?

— Nawet wtedy — Kasia rzuciła mi karcące spojrzenie. — Co ty, w bajki wierzysz? Księżyc nie ma tu nic do rzeczy. Choć są momenty, że trudno mi wytrzymać w ludzkim ciele i wolę pobiegać na czterech łapach.

— Rozumiesz mowę zwierząt? Psy w schronisku przepadają za tobą.

— Rozumiem, choć nie tak, jak możesz sobie to wyobrażasz. Nie słyszę ich głosów w mojej głowie, jak pewnie sądzisz. Po prostu dobrze znam język ich ciała.

Wilkołak we Wrocławiu, pomyślałem. Od dziecka wiedziałem, że to miasto jest niezwykłe. Moja dziewczyna-wilkołak. Musiałem być kimś fajnym, skoro ktoś tak wyjątkowy na mnie polecał. Nagle poczułem się bezgranicznie szczęśliwy. A potem, choć zwykle mężczyzna prosi kobietę, by została jego żoną, poprosiłem Kaśkę o zostanie moim psem. Z początku nie wydawała się przekonana do tego pomysłu.

— Tylko na czas, zanim nie zarobię na wynajęcie własnego kąta — objaśniałem. — Zamieszkamy u mojego kuzyna Jarka, niedaleko politechniki. Facet sporo pracuje, więc będziesz mogła pod jego nieobecność przybierać ludzką postać.

Rozmowa trwała długo. Wyjaśniałem Kaśce, że wcale się jej nie wstydzę, tylko moi rodzice nie dadzą nam żyć, kiedy usłyszą, że mieszkam z dziewczyną. Poza tym Jarek zgodził się przyjmując mnie pod swój dach z psem, nie z kobietą. Następnego dnia kupiliśmy obrozę i smycz, ale o kagańcu nie chciała słyszeć.

— Nie będę się przy tobie załatwiał na dworze — powiedziała kategorycznym tonem i wybrała parcianą obróżkę w kolorowe wzorki. Dałem jej też trochę pieniędzy, żeby kupiła sobie normalne damskie ubrania. Aby formalnościom stało się zadość, musiałem zaszczepić psa. Kaśka oprotestowała wizytę u weterynarza, bo „będzie ją macał”. Powiedziała, że ugryzie





mnie, jeśli zastrzyk zaboli. W psiej postaci ledwo poczuła ukłucie. Mama nawet za bardzo nie narzekwała na obecność psa, może dlatego, że wrzesień miał się ku końcowi i zbliżał się czas pożegnania z ukochanym synkiem, przyszłym studentem politechniki. Wydawało mi się, że polubiła Kaškę w psiej postaci. Moja dziewczyna-wilkotak spędzała sporo czasu z mamą w kuchni, gdzie czyhała na różne kąski, podejrzanie często zsuwające się z talerzy. A ja? Cieszyłem się obecnością Kaški w jakiegokolwiek formie, sama świadomość posiadania tak niezwyklej tajemnicy również była dość przyjemna. Czułem się podekscytowany zbliżającą się przeprowadzką do Wrocławia i nowymi perspektywami, które nas tam czekały.

*W moim sercu mieszka tęsknota, której sama do końca nie rozumiem. Niemal odużona zapachem porannej rosy na trawie, chciałabym rzucić się w pogoń na czterech łapach. Za czym? Nie wiem. Innym razem pragnę smaku ciepłej krwi na języku, jako nagrody po udanym polowaniu. Sama dla siebie jestem nieodkrytym obszarem. Nie było nikogo, kto potrafiłby ułatwić mi zrozumienie własnej natury. Lub własnego wynaturzenia... Wiem jedno. Lubię być Tobą.*

31

Polibuda mnie wykańczała, nie tak to sobie wyobrażałem. W ogóle studia były przereklamowane. Zrzuciłem w progu buty byle jak, choć Jarek pieklił się, kiedy potykał się o nie. Z głębi dobiegały mnie dźwięki muzyki, pewnie Kaška coś oglądała. Chciałem jak najszybciej zaznać pocieszenia w jej ramionach. Gdy jednak wszedłem do pokoju, zamarłem ze zgrozy.

— Jezus, Maria, Kaška!!! — wyrwało mi się.

— To Jezus, Maria czy ja? Bo wiesz, nie można mieć wszystkiego. Czemu tak krzyczysz?

— Bo na ulubionej kanapie Jarka leżysz, no! Podrapiesz, oblezie albo piachu naniesiesz, a on będzie znowu się czepiał, że mój pies to czy tamto!

— Dobrze już, dobrze, zaraz spżątnę po sobie.

Przybrała ludzką postać i naga, prowokatorka jedna, zaczęła obmiatać kanapę. Złapałem ją w pół, zaciągnąłem do pokoju i naprawdę miło wspominam czas, jaki tam wtedy spędziliśmy.

— Nudzę się tu bez ciebie — powiedziała po wszystkim. — Przeczytałam ostatnią książkę z małej biblioteczki Jarka. Potem ugotowałam zupę i gapiłam się bez sensu w telewizor. Nie mógłbyś dorobić mi kluczy?

— Kasiu, wiesz, jakie to ryzykowne. Rozmawialiśmy już o tym.

— Duszę się tutaj — usłyszałem niepokojącą nutę w jej głosie. Oczy Kaški z błękitnych stały się na moment bursztynowe jak u wilka. — Chciałabym coś robić, znaleźć jakąś pracę albo chociaż wolontariat.

— Na razie chodźmy na spacer, dobrze?

Spacerowaliśmy po osiedlu. Kaška często zniknęła mi z oczu, aż zaczynałem się bać, że nie wróci. Tak naprawdę nie mogłem mieć pewności, że nie pogryzie się z jakimś psami. Czasem stroiła sobie ze mnie żarty, zmieniając postać w kizakach i wystawiając na zewnątrz tylko głowę, podczas gdy reszta drażniła moją wyobraźnię. Brakowało

mi chodzenia z nią za rękę, tak normalnie, jak ze zwykłą dziewczyną. Ale już niedługo. Dostałem pracę w galerii handlowej, miałem kilku chętnych na korki z matmy, liczyłem na to, że szybko znajdziemy bardziej dyskretny kąt niż ten u Jarka.

W domu kuzyna dochodziło czasem do zabawnych, z perspektywy czasu, sytuacji, które jednak stawiały mnie w świetle, w jakim nie chciałem stać. Jak wtedy, gdy znienacka uparował do mnie w pewną niedzielę rano. Umówił się z kobietą i w widoczny sposób zależało mu, by dobrze wypaść, a tymczasem okazało się, że nie ma czystej koszulki, bo od paru dni nie zrobiliśmy prania.

— Stary, poratujesz kuzyna koszulką? — wyrwał mnie ze snu, dlatego nie zareagowałem dość szybko. Zanim zdążyłem zaprotestować, otworzył szufladę, w której Kaśka trzymała swoją bieliznę. Jarek wbił wybałuszone oczy w stertę staników i damskich majtek.

32

— To nie tak jak myślisz! — rzuciłem za nim najbanalniejszy tekst świata.

Kuzyn opuścił pokój bez słowa i zamknął za sobą drzwi. Kaśka w psiej postaci wydawała się ubawiona, ale ja się obawiałem konsekwencji tego zdarzenia. Co jeśli zadzwoni do rodziców i zacznie opowiadać im jakieś dziwne historie? Opadłem na pościel i ciężko westchnąłem. Kasia siedziała pod zamkniętymi drzwiami i strzygła uchem.

— Wyszedł — oświadczyła po pół godzinie, przybrała ludzką postać i dołączyła do mnie w łóżku.

Boże, jak ja ją kochałem! Czasem sam zastanawiałem się, czy związek z wilkołakiem w pewien sposób nie robi ze mnie zoofila? Nie odczuwałem pożądania wobec jej zwierzęcej postaci, o tym potworze, pół-człowieku pół-wilku, którego widziałem tylko raz, nie wspominając. Kiedy miałem ją nagą obok siebie, z jasnymi włosami swobodnie spływającymi na plecy i z figlarnym uśmiechem na twarzy, odechciewało mi się analiz i to ze mnie wychodził dziki zwierz.

Choć najchętniej zamknąłbym ją w wieży i trzymał przy sobie i tylko dla siebie, rozumiałem, że ciągłe przesiadywanie w czterech ścianach mogło być nieznośne dla istoty inteligentnej. Dorobiłem Kaśce klucze, tak jak prosiła, żeby mogła sama wychodzić i znaleźć sobie jakieś zajęcie. Wyraźnie od tego poweselała. Tymczasem ja nie czułem się najlepiej. Konfrontacja zarobków z galerii i korków z cenami wynajmu nie wypadła najlepiej. Poza tym, gdziekolwiek pytałem o możliwość zameldowania Kaśki, otrzymywałem odpowiedź odmowną. Może nadszedł czas, by wyjść z ukrycia i ujawnić nasz związek? Wątpiłem, co prawda, by Jarek zgodził się zameldować Kaśkę na stałe, ale przecież istnieją inne możliwości. Jeśli kogoś zastanowiłaby nieobecność psa, mógłbym powiedzieć, że uciekł. Nawet gdyby komukolwiek przyszło do głowy, że ujawnienie mojego związku z Kasią zbiegło się z psim zniknięciem, raczej nie odkryje prawdy. Przecież nikt nie wierzy w wilkołaki.

Jeśli chodzi o te ostatnie, czytaliśmy z Kaśką wszystko, co choćby w drobnym stopniu dotyczyło likantropii. Do dziś mdli mnie na samą myśl o romansach paranormalnych, mimo że sam byłem w zasadzie bohaterem takiej historii. To jednak były niemal jedyne źródła, z których mogliśmy czerpać wiedzę na temat natury Kasi.





— Już nie mogę... — jęczała Kaśka nad Patricią Briggs. — Wszystko mi jedno, czy to kłątwa, geny, magia natury czy inne cholerstwo. Możemy już dać temu spokój?

— O, to jest dobre! Tutaj piszą, że wilkołak po śmierci staje się wampirem — wyszukałem w naukowej publikacji na ten temat. — W każdym razie kiedyś w to wierzone.

— Wielkie dzięki.

Prawie nic z tego, co opisywano w powieściach, nie zgadzało się z przypadkiem Kaśki. Przypuszczałem, że bez przewodnika pochodzącego z jej własnego rodzaju, o czym także rozpisywały się książki, moja dziewczyna może nigdy nie dociec prawdy o swej naturze.

*Czasem patzę w gwiazdy, wdychając nocne powietrze. Zapach zanosi swe opowieści w głąb mojego mózgu. Wiem, kiedy się boisz lub jesteś zły. Czuję twoją radość, nawet gdy nie ma mnie blisko przy tobie. Wiem, jakie uczucia targają ludźmi mijającymi nasze okna. Twoje kroki, kiedy wracasz do domu, słyszę znacznie szybciej niż przypuszczasz. Ich dźwięk jest unikalny, a dla mnie oznacza koniec samotności. Moje serce bije szybciej, gdy uśmiech rozjaśnia twoją twarz.*

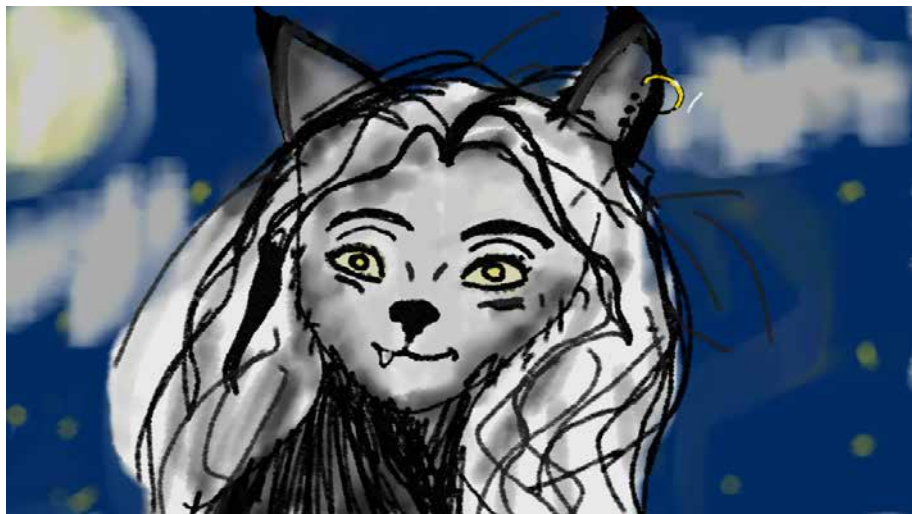
33

— Co by było, gdybyś mnie ugryzła? — spytałem Kaśkę pewnego dnia. — Stałbym się taki, jak ty?

— Nie wiem — wzruszyła ramionami. — Nigdy nikogo nie ugryzłam. Co ci chodzi po głowie?

— Poza pozostaniem z tobą na zawsze, zupełnie nic.

Kiedy teraz wspominam tamte czasy, wydają mi się czystą sielanką, pomimo ciężkich studiów i marnych zarobków. Miałem kogoś, kogo kochałem i podziwiałem – i rzeczywiście wierzyłem wtedy, że tak zostanie na zawsze. Niepożądane zmiany zachodzą zwykle



powoli i po cichu, niezauważalnie. Pogorszenie sytuacji staje się widoczne dopiero, gdy wydarzy się już za dużo złego, by cokolwiek uratować.

Kasia zrobiła użytek z klucza, który jej dorobiłem. Pod moją nieobecność wyprowadzała ludziom psy za kilka groszy, czasem też je cesała czy kąpała i zabierała do weterynarza. Z jakiegoś powodu od pierwszego wejścia wzbudzała zaufanie zarówno u zwierząt, jak i ich właścicieli. Pamiętam dzień, gdy zastałem ją w domu głęboko zamyśloną po jednym z takich spacerów. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że to początek końca.

— Co się stało, kochanie? Czemu jesteś taka smutna?

— Dzisiaj, kiedy byłem na spacerze z Azorkiem pani Królikowskiej, spotkałam starszą kobietę. Na mój widok zatrzymała się i zaczęła mi się intensywnie przyglądać. Było w niej coś takiego... nie wiem, jakby znajomego. Myślę, że może ona mnie rozpoznała w jakiś sposób. Może wie, kim jestem.

— Jezus, Kaśka!

— A gdzie Maria? — zażartowała na widok mojego wzburzenia. — Dlaczego się tak denerwujesz?

— Bo to może być ktoś niebezpieczny!

— Babcia z laską?!

— Jakaś szajka handlująca kobietami!

— Nie, to nie to. Chodzi o to, czym jestem, o wilkołactwo. Ona coś wie, na pewno. Mówię ci.

— Skąd wiesz? Percepcja ci się wyostrzyła ostatnio? — parsknąłem ze złością. Przecież to było zupełnie irracjonalne! Z drugiej strony siedziałem w kuchni z wilkołakiem płci żeńskiej u boku.

— Po prostu wiem. Ta staruszka może być szansą na dowiedzenie się czegoś o mojej naturze — rzuciła mi twarde spojrzenie. — To dla mnie ważne.

Wiedziałem, że nie ma sposobu, bym wybił jej to z głowy. Martwiłem się, choć może niepotrzebnie. W postaci, którą przybrała przy mnie tylko raz, tej potwornej hybrydy wilka i człowieka, zapewne poradziłaby sobie i z kilkoma przeciwnikami naraz. Dałem spokój kłótni, czy nie lepiej się poprzytulać? Kaśka więcej nie wspomniała o tajemniczej staruszce, nie mogłem jednak być pewien, że jej nie szukała. Kilka dni później Jarek wyjechał na konferencję, Kasia mogła zatem na dłużej porzucić psią postać. Bardzo miło i intensywnie spędziliśmy tamte dni. Po jednej, szczególnie upojnej nocy, poszedłem rano do kuchni, wstawić wodę na poranną kawę. Przy stole siedział mój kuzyn w pogniecionej marynarce i poluzowanym krawacie. Wory pod oczami świadczyły, że nie spał za dobrze tej nocy. Może nawet wcale.

— Stary, musimy pogadać — odezwał się. Nie podobał mi się jego ton.

— Wróciłeś w nocy?

— Tak. Dokładnie tak. I o to chodzi. Słyszałem, co wyprawiasz w nocy — zabrzmiało to oskarżycielsko, ale ja pokraśniałem z dumy. — Słuchaj, mogę zrozumieć, choć z trudem, fetysze w postaci damskiej bielizny, ale to...





— Co? Fetysze? Jakie fetysze?!

— To, co robisz po nocy z psem, stary...

— Słucham?! Co ty sugerujesz? W mordę chcesz? Mam ci przywalić w twojej własnej kuchni?

— Nie wypieraj się, nie ma sensu, przecież wiem, że nie masz dziewczyny. Dzwonię do twoich rodziców, niech ci załatwią leczenie. A ty pakuj manatki, wyprowadzasz się.

— Mam dziewczynę i zaraz się o tym przekonasz — telepało mną ze złości. Naprawdę chciałem mu wtedy przyłożyć — Kaśka! Kasiu, możesz tu przyjść?

Byłem się, że nie wyjdzie z pokoju. Ale przyszła. Owinęła się prześcieradłem tak, by nic nie pokazać, ale i nie pozostawić cienia wątpliwości co do tego, że jest całkiem naga. Włosy w porannym nieładzie spływały na kształtne ramiona. Uśmiechnęła się jakoś tak przepraszająco. Jarek długo nie mógł podnieść kopary z kolan, a ja triumfowałem w duchu.

Wkrótce po ujawnieniu naszego związku wyprowadziliśmy się. To był prawdziwy łut szczęścia. Udało nam się tanio wynająć kawalerkę nad rzeką, w najładniejszym zakątku Wrocławia. Kasia cieszyła się, że w samym centrum miasta można być tak blisko natury. Tak jak się spodziewałem, mama zaczęła zadrezczać mnie telefonami ze strachu, że rychło zostanę tatusiem. Nowe mieszkanie znajdowało się w wielopiętrowym bloku, mieliśmy tam wszystko, czego potrzeba do spokojnego życia. Kasia nie musiała dłużej udawać mojego psa, z powodzeniem zajęła się opieką nad pupilami innych. Wiedziałem, że kilka razy w tygodniu dojeżdżała do poprzednich klientów.

Z nowego mieszkania miałem blisko do pracy w galerii. Okazało się, że jedna z moich koleżanek, Ewa, mieszka w okolicy i, chcąc nie chcąc, często wracałem do domu w jej towarzystwie. Była miłą osobą, owszem, ale nie umywała się do mojej Kasi. Pewnego wieczora, gdy przechodziliśmy jasno oświetlonym mostem, duży pies stanął nam na drodze. Od razu rozpoznałem Kaškę. Ewa wystraszyła się i przywarła do mojego ramienia. Na pysku psa pokazała się zmarszczka, warga uniosła się, obnażając kły.

— Spokojnie. To mój pies — powiedziałem. Wyciągnąłem dłoń w stronę łba Kaški i dopiero wtedy zauważyłem, jak mocno drży mi ręka. W tamtej chwili bałem się mojej ukochanej. Zauważając to, Kasia odwróciła się i zniknęła w ciemności. Przeprosiłem Ewę i pognałem za psem. Gdybym wiedział, że to zdarzenie było jedną z kropel drążących skałę mojego osobistego szczęścia...

Kasia czekała w domu. Usiadłem i przytuliłem ją.

— Kto to był? — spytała.

— Ewa, koleżanka z pracy.

— Codziennie ją tak odprowadzasz? — proszę, dziewczyna-wilkołak była zazdrosna!

— Nie odprowadzam. Mieszka niedaleko i czasami wraca ze mną.

— Czemu mi nie powiedziałeś?

— Czego? — zdziwiłem się.

— Że masz zwyczaj wracać z koleżanką — ostatnie słowo dobitnie zaakcentowała.

— Bo nie ma o czym mówić — nieporozumienie-klasyk, ale wtedy nie wiedziałem jeszcze, o co chodzi i jak załagodzić taką sytuację.

— Nie jestem psem — rzuciła na koniec płaczącym głosem. Czy to nie oczywiste? Zupełnie nie rozumiałem, dlaczego to wtedy powiedziała. Na tym jednak nie skończył się tamten wieczór. — Czy ty się mnie boisz? — spytała. Widać zbyt długo nie odpowiadałem, bo Kaśka zaczęła płakać, chyba pierwszy raz, odkąd się poznaliśmy. — Myślisz, że jestem potworem? — łkała. — Że zrobiłabym ci krzywdę? Albo jej? Zupełnie mnie nie znasz. Ale to przecież nic dziwnego, bo ja sama nie znam siebie.

Kasia zamknęła się w kuchni i nie dała mi do siebie podejść, kiedy chciałem ją pocieszyć. Następnego dnia Ewa nie odzywała się do mnie i zaczęła wychodzić z pracy tak, byśmy nie wracali razem. Ja nie czułem potrzeby czegokolwiek wyjaśniać, nie zależało mi na jej opinii. Kobiety, wilkołaki czy nie, kto je rozumie?

36

*Widząc cię z nią, poczułam, jak w moich żyłach wzbiera morderczy szal. Nie dlatego, że byłam na ciebie zła, lecz z powodu nagłego olśnienia. Twój strach mnie zranił. Zrozumiałam wtedy, że nie jestem tym, czego potrzebujesz. Ze mną nigdy nie zaznasz normalnego życia. Nie, jeśli nie dowiem się prawdy o własnej naturze. A kiedy już będę wiedziała, może okazać się, że to ty nie jesteś tym, czego potrzebuję. Którzejkolwiek drogi nie obierzemy, w końcu i tak czeka nas rozstanie.*

Kasia odeszła kilka dni później. Wymknęła się, kiedy byłem poza domem. Zostawiła kartkę, na której skreśliła kilka słów o konieczności poznania siebie i niechęci do rujnowania mojego życia. Jakiego rujnowania, dziewczyno? Przecież to wszystko nieporozumienia, splot przypadkowych okoliczności. Takie nic!

Szukałem jej wszędzie, w obu postaciach. Rozwieszałem ogłoszenia o zaginięciu zarówno kobiety, jak i dużego, wilkowatego psa. Czasem ktoś zadzwonił, ale wszystkie tropy prowadziły donikąd. Posunąłem się nawet do dręczenia jej pracodawców, ludzi, których psami opiekowała się. Szukałem też tej staruszki, rzekomo posiadającej w ocenie Kaśki wiedzę o wilkołakach. Wszystko na próżno.

Od tamtej pory minęło wiele lat. Postarzałem się, na skroni syknęła się siwizna, a brzuch spływa na pasek od spodni. Skończyłem politechnikę, znalazłem dobrą pracę i na stałe związałem swoje życie z Wrocławiem. Zostałem tu, bo dzięki temu miastu poznałem inną, magiczną stronę życia. Tak wiele czasu minęło, w pamięci pojawiają się luki, aż do zwątpienia, czy rzeczywiście znałem Kaśkę – dziewczynę-wilkołaka, z którą naprawdę, choć na krótko, byłem szczęśliwy.

*Gdybym teraz cię spotkał, cóż miałbym ci powiedzieć? Złamałaś mi coś więcej niż serce. Złamałaś mi życie. Ciągle mam nadzieję, wiesz o tym? Mam nadzieję, że gdziekolwiek się udałaś, znalazłaś to, czego szukałaś i jesteś szczęśliwa. Boję się, że tak nie jest. Kiedy nocą wpatruję się w czerni okna, marzę, by ujrzeć w ciemności parę bursztynowych oczu... 🐾*



GRZEGORZ SZCZEPANIAK

## PSIA DOLA, CZYLI FANTASTYKA NA CZTERECH ŁAPACH

W roku 2019 obchodziliśmy pięćdziesiątolecie pierwszego lądowania człowieka na Księżycu, a pierwszym ssakiem w kosmosie był... pies. Co prawda pomysł, aby bohaterem 24. numeru „Czerwonego Karła” został pies, zrodził się przeszło rok temu, ale z różnych powodów – w tym ociągania się niżej podpisanego – do jego realizacji dochodzi dopiero teraz. Tyle tytułem wstępu, a teraz do rzeczy.

Trudno znaleźć stworzenie, w stosunku do którego człowiek przejawia bardziej ambivalentne uczucia. No bo z jednej strony wiąże się z nim cała masa pozytywnych skojarzeń, począwszy od tego, że w języku angielskim nazwa 'dog' to czytany od tyłu 'bóg' ('god'), a zatem istota absolutnie dobra ('good'), a w polu symbolicznym odnajdziemy także zwrot *wierny jak pies* (wierność to też jedna z cech boskich). Z drugiej jednak lista psich frazeologizmów nacechowanych pejoratywnie robi naprawdę wrażenie; oto niektóre z nich: *pies łańcuchowy*, *pies ogrodnika*, *pies kłusujący rękę*, *która go karmi*, *zdradziecki pies*, *pies jedzący ochłapy z pańskiego stołu*, *pogoda pod psem*, *leje tak, że nawet psa by nie wygonił* czy wreszcie *pies* jako pogardliwe określenie policjanta oraz jedno z najgorszych przekleństw w polszczyźnie: *sukinsyn*. Zastanawiające, że większość tych zwrotów odnosi się do głównej pozytywnej cechy przypisywanej psom, czyli wierności. Widać z tego, że z ideą lojalności (podporządkowaniem się)

ludzie od dawna mieli problem i nie cenili jej zbyt wysoko.

Psie towarzystwo owocowało tym, że zwierzęta te, również przedstawiciele gatunków nieudomowionych, czyli wilki lub lisy, trafiały na karty literatury czy dzieła plastyczne. Najciekawszymi wcieleniami czasów starożytnych były Cerber (strażnik zaświatów) i wilczyca kapitollińska (wykarmiła założycieli Rzymu: Romulusa i Remusa), a w okresie wczesnego średniowiecza Fenrir/Fenris (wilk, który miał pożreć w czasie Ragnaroku Odyna).

Z czasem psy i psowate przestawały pełnić role tak eksponowane, ale pojawiały się w coraz większej liczbie tekstów kultury,

37



*Pies Huckleberry*, serial USA (1958–1962), reż. Joseph Barbera i William Hanna

przenikając również do utworów dla odbiorcy nieletniego. Tak się bowiem przyjęło, że zwierzęcy bohater jest wręcz idealnym partnerem dla młodego czytelnika, widza, słuchacza. Żeby nie być gołosłownym, przypomnę chociażby psa Huckleberry'ego – jednego z moich ulubieńców lat, nomen omen, szczenięcych czy psa Pankracego, który na wiele lat zawładnął sercami wszystkich dzieciaków wychowujących się w smutnych czasach stanu wojennego. Innymi bohaterami pryłowskiej pop-kultury byli Szarik i Cywil – psy pełniące propagandową służbę na rzecz komunistycznego reżimu. Nie brakowało jednak wcieleń mniej jednoznacznych. Tu szczególną uwagę chciałbym zwrócić na lisa Witalisa, którego szelmostwa doczekały się w 1980 roku znakomitej inscenizacji w Teatrze Młodego Widza (reż. Maciej Wotyszko), a czytane już w wieku dorosłym córkom, przynosiły liczne zaskoczenia. No bo sami powiedzcie, jak zareagować na taki rym: *Ogon lisa / Zwiślał jak pączeczka łysa?*

Brzechwa napisał to naprawdę w poemacie dla dzieci! Innym, a pierwszym chyba fantastycznym, nie zaś mitologicznym czy bajkowym psim bohaterem, z którym się zetknąłem, był Ferdynand Wspaniały. Jego podróż windą do nieba to wszak echo śmiałej koncepcji Arthura C. Clarke'a o bezpiecznych wyprawach na Księżyc.

Czteronożny budzą w ludziach nie tylko miłe skojarzenia, co nie dziwi, bo to wszak dra pieźniki. Do dziś pamiętam filmową wersję *Akademii Pana Kleksa*, w której przemarsz wilków przy akompaniamencie piosenki TSA porządnie wystraszył mnie, niejednego mojego rówieśnika, że o młodszych kolegach i kolegach oglądających ją w ciemnym kinie nie wspomnę. Równie przerażające wrażenie sprawiał, choć nie był przecież tak demoniczny, pies Baskerville'ów. Oglądana jednak po raz pierwszy przeze mnie jeszcze na czarnobiałym telewizorze adaptacja powieści Arthura Conan Doyle'a jeżyła włosy na głowie. Podobne emocje, choć już nie tak



*Akademia Pana Kleksa*, Polska 1984, reż. Krzysztof Gradowski





silne, wzbudził we mnie psi nosiciel obcego z *Coś Carpentera*.

Jednym z najniezwykleszych pieskich bohaterów poznanych przeze mnie w dzieciństwie był szeryfopodobny Kajetan Chrumps z cyklu opowieści o Brombie i jej przyjaciółkach wspomnianego już Macieja Wojtyszki. W ogóle Okolica Strumienia to jeden z najwspanialszych fantastycznych światów stworzonych przez polskiego twórcę i aż żal, że dziś odchodzi do lamusa. Towarzyszem Chrumpsa był kot Makawity odgrywający w tej parze rolę dr. Watsona, nawrócony arcyprzestępca, który wpadł przez Kajetana. Największą sprawą prowadzoną przez tę parę była oczywiście *Tajemnica szyfru Marabuta* – równie smakowita jako powieść, jak i animacja. Finał tej historii na promie pszymucla Nulka to prawdziwy triumf detektywistycznego nosa Chrumpsa.

Ten subiektywny przegląd nie jest po to, bym się chwalił swoją pamięcią czy egzaltował nostalgią, ale by pokazać, że nawet skromnie zamierzoną wyliczankę można ciągnąć i ciągnąć (ani słowem nie wspomniałem przecież wilka z bajki o Czerwonym Kapturku, psa, który jeździł koleją, Pluta, Pajta z *Arabeli*, żółtego jamnika z *Ucha, dyni, sto dwadzieścia pięć* czy Tolkienowskich Huana i Łazikantego). Psy szeroką ławą wdarły się do popkultury i trudno sobie dziś wyobrazić utwór, w którym by się nie pojawiły. Zaryzykowałbym jednak stwierdzenie, że ten korowód czworonogich postaci prowadzi nie kto inny tylko Blood z *Chłopca i jego psa* Harlana Ellisona.

Nowela powstała w roku 1969 i jest jednym z manifestów anarchii i zapowiedzią narodzin ruchu punk. Oczywiście, pokutuje w niej jeszcze sporo gitowskich schematów,



*Kajetan Chrumps*, rys. Grażyna Dłużniewska ale pochwała indywidualizmu i odrzucenie wszelkich społecznych norm zwiastują już nadejście czasów totalnej wolności. Fabuła rozgrywa się w świecie po atomowym kataklizmie, gdzie niedobitki ludzkości próbują jakoś przetrwać. Ci, którzy mieli więcej szczęścia, bo należeli do elit starego świata, przetrwali w podziemnych bunkrach i kontynuują swoją egzystencję tak, jak gdyby nic złego się nie stało. Ci, którzy muszą żyć na powierzchni, toczą codzienną walkę o przeżycie i nie tylko dlatego, że brak jest ku niemu warunków (brakuje jedzenia, wody itp.), ale również i z tego powodu, że ludzie polują na siebie nawzajem. Ponieważ w grupie przetrwać jest zawsze łatwiej, powstają różne gitpaki, które panoszą się wśród ocalałych.





Kadr z filmu *Chłopiec i jego pies*, USA 1977, reż. L.Q. Jonesa, w roli Vica Don Jonson

Główny ludzki bohater nosi imię Vic i jest singlem. Przetrwać takiemu w tej rzeczywistości byłoby niezwykle ciężko, ale nastoletkowemu towarzyszowi niezwykle ciężki kompan – pies, którego przodkowie byli ofiarami wojskowych eksperymentów, w wyniku których uzyskali inteligencję, samoświadomość i telepatyczne zdolności. Ceną za ten nowy status (co tu dużo ukrywać: istot rozumnych) była całkowita utrata umiejętności samodzielnego zdobywania pożywienia. Psy zostały skazane na łaskę ludzi. Ponieważ relacja z opiekunem przynosiła zyski obojgu: pies doskonale wyczuwał, co się dzieje wokół niego, ostrzegał przed niebezpieczeństwami, a także potrafił... zlokalizować panienki – Vic zajmował się Bloodem, a Blood dbał o potrzeby Vica, którego nazywał Aleksandrem. Wątki fabularne *Chłopca*... spletają się właśnie wokół erotycznych zachcianek Vica, którym próbuje zarządzić jego pies. Przypadkowo odnaleziona singielka okazuje się mieszkanką

jednego z podziemnych miast. Znajomość nie zostaje jednak skonsumowana, bowiem miejsce schadzki napada jakaś agresywna gitpaka, której członkowie radzi byłoby też sobie troszeczkę pofigliwać.

Przypadkowo połączonej trójce bohaterów udaje się umknąć, a szukając okazji do zrealizowania swych cielesnych potrzeb, Vic udaje się za Quillą June do jej podziemnego miasta. Tu się okazuje, że tak naprawdę została złapana w erotyczną pułapkę przez Radę Miasta. Otóż w Tolpeka, gdzie życie wygląda zupełnie jak w USA lat pięćdziesiątych, pojawiły się problemy z płodnością. Nie dość, że cięższe są coraz rzadsze, to zupełnie przestali się rodzić chłopcy. Szczwany plan rajców zakładał, że ściągną sobie z powierzchni jakiegoś rujnego samca, który odbuduje męski potencjał wymierającej społeczności. I może wszystko poszłoby zgodnie z nim, bo sytuacja, w której od napalonego chłopaka wymaga się jedynie korzystania ze swoich lędźwi, należy do



wymarzonych, gdyby nie to, że Vic, schodząc do podspodu, zostawił na zewnątrz bezbronowego Blooda. W toczonej przez chłopca wewnętrznej walce między oferowanymi rozkoszami nowego życia a lojalnością wobec istoty, której zawdzięcza się znacznie więcej, niż mogą sobie wyobrazić mieszkańcy Tolpeka (pies nie tylko wyciągał Vica z niejednych tarapatów, ale też... nauczył go czytać) zwycięża lojalność. Chłopiec ucieka z miasta, zabierając ze sobą dziewczynę, która nie rozumie jednak relacji między Vikiem a jego psem. Kiedy odnajdują umierającego z głodu Blooda rozegra się najważniejsza konfrontacja tego utworu: która miłość jest ważniejsza: do przygodnie poznanej przedstawicielki własnego gatunku, czy do innej istoty, z którą się z niejednego pieca chleb jadło. Finał może zaskakiwać jedynie zawziętych antropocentrystów. Nie po to jednak Ellison wysmarował swój sążnisty manifest, którego ostrze skierował przeciw patriarchalnemu i zakłamanemu w swych konwenansach społeczeństwu amerykańskiemu, by połączyć ze sobą chłopca i dziewczynę. W końcu to pies jest najlepszym przyjacielem człowieka (przypominam, że w angielskim 'człowiek' i 'mężczyzna' to 'man').

Tylko paradoksalnie jest to wsteczna, mizoginistyczna historia. Ellison wyprzedził swoją epokę i napisał dzieło na wskroś genderowe. Nie możemy widzieć w Quilli June kobiety, tylko dlatego, że urodziła się z waginą. Kulturowo jest przecież zakompleksionym i konserwatywnym facetem, którego miejsce jest na śmietniku historii. Vic zaś to otwarta na różnorodność i międzygatunkowe doświadczenia osoba.

*Chłopiec i jego pies* jest też pochwałą indywidualizmu graniczącego z egoizmem – wszelka społeczność (także w postaci gitpaki) przynosi jednostce zniewolenie. To również dlatego Vic wybiera Blooda, bo pozostając z Quillą, uwikłałby się w relację zbyt go obciążającą. Czy jest to wyraz ucieczki chłopca przed odpowiedzialnością, przed męskością? Bardzo możliwe. Nie poznajemy wieku bohaterka, ale chłopcem jest on nad wiek wyrosniętym – zdecydowanie to młody mężczyzna, który nie chce dorosnąć.

Wracając jeszcze na chwilę do Blooda – pomyśl, aby naukowcy przez militarne eksperymenty sprawili, że zwierzęta staną się istotami rozumnymi, uzyskają nie tylko samoświadomość, ale i umiejętność jej komunikowania (w tym wypadku telepatycznie) krążył już wówczas w powietrzu. W 1963 roku Pierre Boulle wydał *Planetę małp*. Wydaje mi się, choć udowodnić tego nie potrafię, że twórcy filmowej *Genezy planety małp* skorzystali z konceptu Ellisona. Nie tylko to świadczy o wybitności jego tekstu. Czytany po latach, sprawił mi tyle samo frajdy, co za pierwszym razem, kiedy znalazłem go w „Feniksie” i to pomimo tego, że hołduje wartościom, z którymi się nie identyfikuję. Ale literatura jest również po to, by zaglądać na drugą stronę barykady i starać się zrozumieć swych przeciwników. Sam zaś Blood to pies nad psy! Nosi w sobie pamięć całej ludzkiej wiedzy zagubionej w wyniku atomowej apokalipsy i potrafi przekazać ją swemu opiekunowi. Jest zdecydowanie najrozsądniejszą postacią w literackiej rzeczywistości tej noweli i aż dziwne, że nie nosi ona tytułu *Pies i jego chłopiec*. 🐕



Jarosław Jaśnikowski, *Zbyt długi spacer* (fragm.)



SANDRA GATT OSIŃSKA

## NIE WSZYSTKIE PSY IDĄ DO NIEBA

S tał nad jeszcze ciepłym trupem. Sporo wysiłku kosztowało go dobiecie skurwysyna. Niby taki mały, a jaki waleczny. Ile woli życia jest w tak niepozornym ciele? Tłukł go i tłukł, lecz cholernik nie zamierzał tak łatwo zdechnąć. Jak gdyby był jakimś pieprzonym potworem z piekła rodem.

Artur obserwował, jak psie oczy stają się coraz bardziej mętne i puste. Lewa łapa drżała w pośmiertnych konwulsjach, jakby ostatekiem sił prosiła o pomoc. Krwawa kałuża powiększała się z sekundy na sekundę, tworząc półokąg wokół rozbitej główki. Między połamanymi zębami wystawał pokaleczony, różowy język.

43

Mężczyzna odrzucił kij bejsbolowy na chodnik. Upadając z łoskotem, narzędzie zbrodni potoczyło się w stronę kontenera na śmieci. Kątem oka Artur dostrzegł ruch. Spojrzył w stronę, gdzie przemknął cień, lecz nikogo tam nie było. Widział jedynie stertę zniszczonych mebli, porwanych gazet oraz butelek, których pobliski sklep nie przyjął na zwrot.

Mokra koszulka lepiła się do ciała, po którym przebiegł gwałtowny dreszcz. Zmęczony Artur usiadł na ziemi i zapalił papierosa. Patrzył, jak krew sączy się z rozbitej czaszki zwierzęcia. Wyraźnie widział wystające fragmenty lśniącego mózgu. Wraz ze stygnięciem ciała, stygła także jego własna, wzburzona krew. *I na co ci to było, głupi kundlu?* — pomyślał, przecierając spoconą twarz.

Zajebał go. Zajebał skurwysyna tak, jak od dawna planował. Miał dość codziennego wycia pod swoim oknem. Tych okropnych koncertów przegranego, bezdomnego kundla. Tyle nieprzespanych nocy... Nie mógł sobie na to pozwolić. Jeszcze jedno spóźnienie do pracy i straci ją. Straci tak, jak wszystko inne. Wypuścił kłąb dymu, wzdychając ciężko. Czuł zwięższającą się opuchliznę pod oczami. Sen. Jak bardzo marzył o głębokim, spokojnym śnie. Bezsenność i związane z nią wycieńczenie, doprowadzały go do szaleństwa. A może już doprowadziły? Nieruchome oczy zwierzęcia patrzyły na niego z wyrzutem. Czyżby jednak przesadził? Mógł przecież zadzwonić na straż miejską, żeby zabrali tego psa do schroniska. *Cholera...*

Artur zamknął oczy i zaczął liczyć do dziesięciu. Nauczył się tego na terapii, pomagającej opanować gniew. Ponownie spojżał na efekty swojej furii. *Może to i lepiej, że Sara odeszła...*

Mroczny zaułek wydawał mu się teraz bardzo nieprzyjemnym i wrogim miejscem. Miał wrażenie, że światło latarni przygasło, a kolory wokół niego traciły swą barwę. Nie czuł się tu mile widziany. Skierował wzrok na zegarek na ręku, zbliżała się trzecia nad ranem. Musiał się chociaż trochę przespać, a czekała go jeszcze długa droga do łóżka. Powinien posprzątać bałagan, którego narobił. Najlepiej będzie, jeśli wyrzuci psie truchło

do kontenera na śmieci. Nie sądził, by ktokolwiek znalazł zwłoki – a nawet jeśli, to raczej nikt nie będzie szukać sprawcy tak niewielkiego przewinienia. *Jednego kundla mniej i tyle.*

Wstał i pochylił się nad ciałem, wyciągając po nie ręce. Już miał chwycić psa, gdy nieopodal rozległo się groźne warczenie. *Świetnie, dopiero co pozbyłem się jednego problemu* – pomyślał, rozglądając się za źródłem dźwięku. Za stertą mebli pokazał się duży, psi cień. Artur przyglądał mu się wyczekująco, gdy nagle jego oczy rozszerzyły się ze strachu. Z głośnym młaśnięciem złowrogi kształt odkleił się od tynku i opadł na chodnik. Wyładowawszy na czterech łapach, otrzepał się gwałtownie. Otworzył wielkie ślepia. Nie jedną parę – całe mnóstwo oczu, pokrywających jego czarne cielsko. W jednej chwili wszystkie źrenice skierowały się na postać drżącego z przerażenia Artura. Ogromny pies zbliżał się do człowieka, szykując się do skoku. Mężczyzna przetarł oczy w nadziei, że to tylko halucynacje, spowodowane małą ilością snu, lecz postać wcale nie zniknęła.

44

— Zjeżdżaj stąd! — krzyknął spanikowany Artur, machając ręką, żeby odgonić psa. Ten zaś ani trochę się go nie bał. Warcząc, coraz bardziej odsłaniał ostre kły. Artur widział, że kreatura nie zamierza odpuścić. Powoli, nie spuszczając wzroku z piekielnego stwora, wyprostował się. Musiał działać szybko i zdecydowanie, jeśli nie chciał skończyć jako psia karma.

Nagle rozległ się głośny plask. Za Arturem pojawił się kolejny stwór z cienia, odcinając potencjalną drogę ucieczki. On także patrzył groźnie za pomocą niezliczonej ilości przekrwionych oczu. Osaczony mężczyzna bezskutecznie próbował ułożyć plan zdobycia kija do obrony, lecz zamiast tego patrzył w psie ślepia niczym zahipnotyzowany. Było z nimi coś nie w porządku. *Te oczy... one są... Ludzkie?*

Z zamyślenia wyrwały go ponowne młaśnięcia. Sądząc po dźwiękach, ze ścian odkleiło się przynajmniej kilka kreatur. Warczenie nasiliło się, wprawiając powietrze w drżenie. Mężczyzna, nie słysząc nawet własnych myśli, niepewnie rozejrzał się wokół siebie. Ze wszystkich stron i zakamarków wyłaniały się mroczne postacie z cienia. Artur patrzył na każdego potwora, obracając się dookoła i analizując ich możliwe ruchy. Obserwował czujnie, jak tworzą wokół niego krąg, który coraz bardziej się zacieśniał. Jedna z kreatur upadła blisko bejsbolowego kija, odbierając mężczyźnie szansę na obronę.

Niespodziewanie jeden z demonicznych psów przybliżył się do martwego kundla. Obwąchał go i wyprostował się gwałtownie. Zaczął pizeciagle wyć, lecz nie był to zwyyczajny psi skowyt. Składał się z dużej ilości zniekształconych głosów. Za nim swą smutną pieśń, snuły pozostałe stwory. Ich wycie stawało się coraz głośniejsze, doprowadzając Artura do szaleństwa. Oszołomiony mężczyzna musiał zakryć uszy dłońmi, choć i to niewiele mu dało. Kręcił się dookoła, próbując skupić na ucieczce, lecz psie oczy śledziły każdy jego ruch. *Pomocy!* — krzyczał w duchu — *Czy naprawdę to wycie nikogo nie budzi?! To jakiś obłąd!*

Widział, jak dwa małe cienie ciągną zębami jego ofiarę. Psie truchło powoli przesuwano się ku wielkiej plamie na ścianie. Mężczyzna ze zgrozą obserwował, jak czerń pochłania





zwłoki, pograżając je w całkowitej ciemności. *Czy i ze mną tak zrobią?* — pomyślał. Gdy tylko psiak zniknął w cieniu, wycie nagle ustało. Ostre pazury bestii drapały wściekle o asfalt, wyrażając zniecierpliwienie. Cienie napinały się do skoku.

Pierwszy atak nadszedł niespodziewanie od tyłu. Jeden z potworów skoczył na plecy Artura, wbijając szpony w mięśnie barków. Kły zatopiły się w umięśnionym ramieniu, powodując obfite krwawienie. Bluzka mężczyzny momentalnie zmieniła barwę na szkarłatną czerwień. Kolejna kreatura próbowała sięgnąć szyi mężczyzny, ale ten w porę uniknął ostrych zębów. Te zaś zatopiły się w jego dłoni, próbującej ochraniać twarz. Bestie nacierały z każdej strony, uniemożliwiając mężczyźnie obronę. Już po chwili przykryły go ogromne cielska, a ich ciężar powalił na ziemię. Czuł kły zatapiające się w jego policzku. Kły, odrywające płaty mięśni i skóry od ciała. Kły, rozrywające brzuch i wyciągające na zewnątrz gorące jelita. Próbował krzyżeć, lecz wtedy bestia rozszarpała mu gardło. Krew napłynęła mu do ust, a jedyny dźwięk, jaki się z nich wydobył, był jedynie nic nieznającym bulgotem.

Zamknął oczy i pozwolił się pochłonać ciemności.

*Nareszcie się wyśpię* — pomyślał, próbując się uśmiechnąć.

\* \* \*

Poranne słońce zalało zaułek, rozpraszając cienie do ich mrocznych kryjówek. Zwłoki Artura leżały zmasakrowane w otoczce zakrzepłej krwi. Jego oczy patrzyły z wyrazem błęgiego szaleństwa, zaś jeden kącik ust unosił się lekko. Mimo usilnych prób – jego zwłoki nigdy nie zostały zidentyfikowane.



Spomiędzy sterty śmieci wyłonił się wychudzony kundelek, niepewnie merdający ogonem. Uniósł łepkę i powąchał rześkie powietrze, czując w nim smakowitą nutę krwi. Niepewnie podszedł do ciała, próbując ocenić, czy ludź zaraz nie wstanie i nie zrobi mu kizywdy. Najbardziej bał się kopnięć, one były najboleśniejsze.

Po chwili obserwacji pies uznał, że osobnik jest nieszkodliwy. Kundel zbliżył się do ciała i zaczął chęptać gęstą krew. Nie miał ani trochę poczucia winy, był po prostu głodny. Nie jadł od wielu dni, a jego ciało znajdowało się na skraju wyczerpania. Chwytał zębami rękę mężczyzny i zaczął ją szarpać. Nadgryzione mięśnie oderwały się z łatwością od reszty ciała, wydając dźwięk niczym rwane prześcieradło. Pies wiedział, że musi działać szybko, jeśli nie chciał zostać przyłapany przez ludziów. Musiał jak najszybciej zabrać jedzenie do swojej kryjówki.

46

Trzymając w pysku rękę oderwaną od łokcia, pies pobiegł w stronę sterty, z której wyszedł. Dłoń Artura machała bezwładnie, jakby żegnając się resztą ciała. Na serdecznym palcu błyszczała złota obrączka, z wygrawerowaną datą ślubu. Bezdomny znajdzie ją kilka dni później i odda do lombardu, gdzie zarobi wystarczającą ilość pieniędzy na kilka dni zapomnienia.

Kundelek wciągnął rękę do zniszczonego kartonu i rzucił przed trzema podobnym do niego szczeniakami. Maluchy zaczęły łapczywie pochłaniać świeże mięso, a krew spływała po ich tycich bródkach. Dorosły pies usiadł i podniósł do góry łeb. Zawył głośno, dziękując psim bogom za obfity posiłek dla swoich dzieci. 🐾

*styczeń 2019*





NORBERT GÓRA

## SZCZEKAM RADOŚNIE PODRÓŻUJĄC WŚRÓD GWIAZD

od bezkresnej czerni  
kosmicznego chłodu  
oddzielają mnie tytanowe ściany  
giganta wzniesionego pracą  
tysiąca ludzkich rąk

leżąc, myślę sobie  
o moich braciach  
których los pozbawił szansy  
na zrozumienie dualizmu takich chwil  
piękna odkrywania nieznanego  
i koszmaru, gdy nieznanne  
grozi końcem majestatu życia

ni brat ni siostra  
nie rozumieją powagi myśli  
gdy zostali tam daleko  
przykryci chmurami  
przez starowinkę Ziemię

a ja szczekam radośnie  
podróżując pośród gwiazd  
gdyż łaskawy los mi dał  
ewolucyjny przywilej  
zrozumienia więcej  
choć pozostanę dalej  
w futrzanym skafandrze  
z miejscem na cztery łapy

napędzany nieustanną wiarą  
że zostawię swój ślad  
w naszym nowym domu  
gdzieś, gdzie czeka na nas  
nieodkryty jeszcze świat

